Nr. 19. Warszawa, dnia 1 (13) Maja 1899 r. Rok XIX.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

UMOWA.

W początku bieżącego tygodnia ogłosił rząd angielski brzmienie czterech not, wymienionych w dniu 28 kwietnia z Rosyą, a obejmujących oprócz głównego obustronnego zobowiązania, że jedno państwo drugiemu w Chinach przeszkadzać nie będzie, jeszcze zobowiązania uzupełniające co do dwu kolei żelaznych, które wywołały były pomiędzy niemi nieporozumienia, a co do jednej z nich, mającej połączyć prowincyę cesarską, Pe-czyli, z Mandżuryą zachodnią, nawet ostry już spór. Oba rządy stwierdzają w dwóch głównych notach zasadniczą chęć unikania wszelkich waśni i starć w sprawach, gdzie interesy ich z istoty swej się krzyżują; oba za zasadę postępowania biorą sobie szanowanie praw zarówno samych Chin jak i mocarstw, mających z niemi umowy; oba wierzą też w to, że taki układ stosunków anglo-rosyjskich najlepiej poprze interesa Państwa Niebieskiego. Komentarz dodany ze strony angielskiej do umowy powyższej potęguje jej doniosłość. D. 1 maja, zagadnięty przez jednego z lordów, margrabia Salisbury powiedział dosłownie:

„Przywiązuję wagę do tego, aby nie myślano, że chcę pojedynczym punktom umowy nadać znaczenie pierwszorzędne; ale sam fakt podpisania umowy w przekonaniu mojem znaczy bardzo wiele: dowodzi dobrego porozumienia się obu rządów, a porozumienie się to było już wielce pożądanem. Silniejszem jeszcze jest pragnienie, aby zgodność poglądów w przyszłości coraz doskonalszą stawać się mogła. Obecna już ugoda jest doniosłą, ponieważ zapobiega możliwym starciom pomiędzy obu rządami w tej odległej części świata i przez to samo daje rękojmię porozumienia na długie czasy."

W przedmiocie kolei żelaznych Anglia w swojej nocie uzupełniającej zaciągnęła zobowiązanie niebudowania żadnej drogi na północ od Muru Chińskiego, Rosya zaś takiem samem zobowiązaniem zapewniła Anglii ze swej strony spokojną budowę dróg w dolinie Jang-tse-kiangu. Kolej budowana obecnie z funduszów dostarczonych przez bank (angielski) w Szang-hai do Niu-czuangu przy ujściu rzeki Liau-ho do zatoki Liau-tong z Szan-hai-kuanu, do którego dochodzi już kolej z południa od Tien-tsinu — kolej ta ma być zbudowana przez Chiny, ma stać się koleją chińską tak, aby żadne z mocarstw europejskich nie mogło jej opanować. Będzie to droga niezmiernie ważna: ciągnąc się pobrzeżem zatoki Liau-tong, oblewającej półwysep tej samej nazwy, z Portem Arthura i Talienwanem oddanymi w dzierżawę Rosyi — otworzy ona dostęp od półwyspu i kolei mandżurskiej do prowincyi, w której leży Pekin. Posiadanie jej zatem ma pierwszorzędne znaczenie.

Tydzień polityczny. *Figaro* skończył już drukować protokóły sądowe; drukuje teraz do sprawy Dreyfusa dokumenty, zostawiając najważniejsze odkrycia na „chwilę stosowną." Przekonanie o konieczności unieważnienia wyroku lub ponownego osądzenia sprawy jest już powszechnem; tylko intryganci bulanżo-nacyonaliści w Izbie jeszcze się pienią i brykają. Rząd sam widzi nieuchronność jednej lub drugiej drogi, a potem konieczność dalszej chirurgii operacyjnej; Freycinet wszakże radził ranę sztabu generalnego okładać różaną wodą i dalszy bieg sprawiedliwości zatamować. Loubet i Dupuy nie zgodzili się z nim. Min. wojny wziął za pozór krzyki w Izbie w rozprawach d. 5 b. m. nad interpelacyą Gouzego o zawieszenie wykładów Duruy'a w szkole wojskowej i podał się do dymisyi. Nowym ministrem wojny dotychczasowy m. robót publ. Krantz, po Krantzu — Monestier, senator. Duruy napisał był artykuł dla sprawy Dreyfusa przyjazny; uczniowie wyprawili mu manifestacyę wrogą. W końcu miesiąca spodziewać się można orzeczenia sądu kasacyjnego.

We Włoszech cały gabinet gen. Pelloux uchylił się od dalszego sprawowania rządów. Przesilenie ciężkie, trwa od 10 dni.

W Hiszpanii minister wojny domaga się 28 mil. dodatku do budżetu.—Filipińczycy poddają się St. Zjednoczonym.

Transwal gotuje się do wojny. Nie dopuszczono go do Hagi, na konferencyę. Bulgarya za to będzie w niej uczestniczyła; Turcya uległa przedstawieniom mocarstw.

W Sofii d. 7 b. m. były wybory do zgromadzenia narodowego.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

DLA CHORYCH NA OCZY.

Kiedy w jesieni roku ubiegłego nadeszła wiadomość z Petersburga, iż wskutek przedstawienia kuratora instytutu oftalmicznego w Warszawie ministeryum spraw wewnętrznych zgodziło się na otworzenie w Królestwie Polskiem oddziałów ruchowych okulistycznych—poświęciliśmy tej sprawie artykuł obszerny. Wyraziliśmy w nim uznanie chwalebnym usiłowaniom, ale zarazem nakreśliliśmy warunki pracy i urządzeń, które bardzo prędko wykazują całą niemoc tych pięknych usiłowań. Wkrótce instytucya ta, stworzona sposobem próby na trzy lata rozpocznie swoją działalność, mianowicie dn. 1 czerwca jeden taki oddział okulistyczny wyjedzie do Ostrołęki. Z tego powodu prasa zaczyna wypowiadać swoje wnioski. Specyaliści zaś, tj. wybitniejsi okuliści, zajęli znamienne stanowisko — wprost nieprzychylne dla całej tej sprawy, a *Gazeta polska*, patrząc na nową organizacyę jednostronnie i powierzchownie, potępiła w czambuł przeciwników, którzy jakoby w tajemniczy i zanadto specyalny sposób

wyrażają swoją opozycyę. Jeżeli ci „koryfeusze" są stanowczymi wrogami oddziałów, czyli „pogotowia okulistycznego," jak je *Gazeta Polska* nazywa — to nie mają racyi, gdyż wszelka pomoc zorganizowana jest przynajmniej przygotowaniem do zbadania istotnego stanu rzeczy, a więc i do skuteczniejszej w przyszłości pomocy. Jeżeli zaś są przeciwnikami owych oddziałów dlatego, że ich właściwa pomoc, tj. leczenie chorych oczu będzie na razie jałowa — to mają najzupełniejszą słuszność.

Nie będziemy powtarzali swoich wywodów, wykazujących niedostateczność takiej pomocy (patrz nr. 50 *Prawdy* z r. p.), ale powołamy się tylko na ważniejsze ze stanowiska społecznego. Powszechnie wiadomo, że choroby oczu są rozmaite i najczęściej bardzo uporczywe, wymagające niejednokrotnej porady i stałej kuracyi. Przeciwdziałanie tej klęsce jest zadaniem olbrzymiem i niezmiernie donioslem, którego jednakże nie można zamknąć w ramkach „oddziałów ruchomych." Przedewszystkiem zwrócimy uwagę na źródło powstawania chorób ocznych. Rozwój wielkiej produkcyi i jej gorączka, uciążliwe warunki pracy wyczerpującej w najróżnorodniejszych dziedzinach, sprowadzają między innemi tak liczny, niemal masowy rozstrój oczu. Podstawą rozwoju i bytu wielu zakładów przemysłowych jest ciągłość czuwania. Praca nocna bodaj dziś ma większe znaczenie niż dzienna. Nadto, tysiące ludzi pracują w dzień przy świetle sztucznem w różnych lokalach ciemnych. Większość budynków szkolnych w naszych miastach i miasteczkach pod względem hygieny wzroku nie odpowiada najskromniejszym wymaganiom. Powstawanie, rozwój, wzrost coraz nowych instytucyi z zawiłym i rozciągliwym systemem pisaniny nieustannej, korespondencyi zbytecznej, zwiększa szeregi pracowników, umieszczonych w różnych ciemnych lokalach. Różne rodzaje pracy wytwórczej śród dymu, kurzu, powietrza zepsutego, wyziewów gryzących, także rujnują wzrok. Dodajmy do tego jeszcze złe warunki hygieniczne w domu, liche odżywianie i wogóle czynniki osłabiające odporność organizmu, które również przyczyniają się do chorób oczu.

Wyobraźmy teraz działalność okulistów wędrownych w takich warunkach, niezmienionych ani na odrobinę. Zgromadziwszy doryweczo sporą liczbę pacyentów, zalecą im pracę umiarkowaną lub wypoczynek, dobre odżywianie się i dużo powietrza świeżego. Ludzie ci przyjmą receptę i przepisy, a nazajutrz lub tegoż dnia będą musieli pracować godzin kilkanaście w dymie, kurzu, wyziewach gryzących, a potem wrócą do domu po to, ażeby w powietrzu spartem wytchnąć parę godzin, posilić się lichą i niezdrową strawą. Po upływie pewnego czasu oddział ruchomy odwiedzi znowu swoich pacyentów i znajdzie śród nich sporą liczbę ze stanem wzroku znacznie pogorszonym.

Jeżeli nawet śród pracowników inteligentnych znajdą się tacy, którzy zechcą połączyć hygienę wzroku z warunkami pracy, to będą oni w tem położeniu, co ów nauczyciel, któremu Krafft-Ebing z powodu cierpień nerwowych zalecał długie przebywanie na świeżem powietrzu. Pacyent nieborak dawał lekcye od 7-ej rano do 2-ej po południu, a potem, chcąc się zastosować do wskazówek lekarza, biegał po górach od 3-ej do 9-ej wieczorem. W rezultacie cierpienie się wzmogło z powodu nadmiernej pracy umysłowej i fizycznej.

Obok materyalnych warunków bytu, śród mas ludności jest jeszcze jeden ważny czynnik, wywołujący cierpienia oczu lub utratę wzroku: ciemnota. Oto wymowne fakty, ujawnione świeżo przez dr. Talkę za pośrednictwem *Gazety Radomskiej*: Specyalista ten podczas pobytu w Radomiu stwierdził, że na dziesięciu pacyentów-chłopów, chorych na oczy, w *ośmiu* wypadkach nie już poradzić nie można. Wynika to stąd, że ludność wiejska, jak wogóle we wszelkich chorobach, tak samo i w cierpieniach oczu, dawszy się wyzyskać przez znachorów, kumoszki różne i felczerów, idzie do lekarza dopiero wtedy, gdy grozi niebezpieczeństwo lub gdy jest już stan zupełnie beznadziejny. Dr. Skrobicki zebrał z urzędów rekruckich cyfry statystyczne, które wykazują, że w gub. Radomskiej na ogólną liczbę popisowych w ciągu pięciu lat nie przyjęto do wojska na zasadzie punktu 30 (ślepy na jedno lub obydwa oczy) 144 z ogólnej liczby 32,490. A więc na 10,000 widzących wypada 44.7 ślepych częściowo lub całkowicie. Niewątpliwie taki sam stosunek istnieje i w innych guberniach. Wogóle na zasadzie przypuszczalnych obliczeń jest domniemanie, że w Królestwie Polskiem na 10 milionów mieszkańców istnieje 40 tysięcy ślepców, których znaczny procent wytworzyła ciemnota. W liczbie nieprzyjętych do wojska jest sporo takich, którzy po przyjściu na świat zapadli na śluzotok łącznicy i w rezultacie, skutkiem tworzących się plam na oczach, oślepli. Otóż dr. Talko proponuje środek tani i nieuciążliwy a skuteczny, mianowicie prewencyjną metodę, polegającą na wkrapianiu noworodkom 2 procentow. roztworu lapisowego. Wyjaśnienie i zachęta księży tudzież lekarzy i dworu mogłaby ocalić znaczny procent ludzi od choroby oczu i ślepoty. Zwrócimy jeszcze na to uwagę, że cyfry powyżej cytowane dotyczą wyłącznie mężczyzn i tylko popisowych. Jakiż więc musi być olbrzymi procent wogóle chorych na oczy lub ociemniałych śród ludności włościańskiej, jedynie skutkiem ciemnoty!

Zamiast tedy „oddziałów okulistycznych," tych doryweczych instruktorów zdrowia, pożądane byłoby raczej Towarzystwo opieki nad chorymi na oczy. Zadaniem takiej instytucyi, złożonej z lekarzy i wogóle przedstawicieli oświeconych warstw społeczeństwa, byłoby wydawanie broszur popularnych w sprawie hygieny wzroku, zakładanie lecznic oftalmicznych, wyjednywanie w wyższych sferach władzy ulg pracowników, uwzględniających hygienę pracy w różnych działach przemysłu i handlu, wpływanie na zarobkodawców, ażeby

---

PAWEŁ DE MONTE *)

„Mój pan zabity!"

Zapewne niema pośród moich czytelników osoby, któraby raz przynajmniej w życiu nie uległa szczególniejszemu popędowi do zbierania, przechodzącemu niekiedy w namiętność, a nawet w manię.

I ja miałem taki czas, a zbiory moje dotyczyły — nie dziw się zbyt drogi czytelniku — ni mniej ni więcej jak — guzików.

Tak jest, zbierałem guziki. Miałem, jakie kto zechce. Wszelkiej wielkości, wszelkiej barwy, wszelkiego materyału: okrągłe, podłużne, nawet czworokątne; kamienne, żelazne, miedziane, perłowe, szklane; od spodni, od koszul i surdutów. Ale przeważnie były to guziki żołnierskie.

Jednak z bogatego mego zbioru, gromadzonego często z wielkim nakładem starań zachował się do dziś dnia u mnie jeden egzemplarz. Ostatni! Oto trzymam cię w ręku dobry, stary, kochany towarzyszu mych zabaw; bezwiednie, jak kiedyś, będąc dzieckiem, potarłem cię dziesięć, dwadzieścia razy o napięty rękaw i znowu błyszczysz mi, jak w najpiękniejszych dniach swego istnienia, gdy zdobiłeś uniform, nie wiem już jakiego dzielnego przedstawiciela potęgi zbrojnej. Do jakiej broni należał twój pierwszy właściciel? W jakiej miejscowości słonecznego Albionu lub górzystej Szkocyi stała jego kołyska? Bo to przynajmniej mówi mi napis, że twój właściciel należał do armii angielskiej. Ileż gorzkich łez przelała może jego matka, gdy zabłysłeś po raz pierwszy na jego piersi? Jakież smętne, jakie słynne były te lata, gdy cię przyszyto — lata Wellingtona i bitwy pod Waterloo!

Na wierzchniej twojej stronie widnieje łabędź, a pod nim czytam po francusku napisane słowa, stanowiące jakby przepowiednię, wystosowaną do gładkowłosego Korsykańczyka: „Qui s'y frotte, s'y pique" *).

Miły czytelniku, czy mogę opowiedzieć ci co z życia mojej babki?

Widzę ją jeszcze przed sobą, dobrą staruszkę, z której rąk otrzymałem ów kosztowny guzik. Oto otwieram album i odrazu natrafiam na podobiznę babki. Tak wyglądała w istocie, taką widziałem ją siedzącą przez dwadzieścia lat na krześle w pobliżu kominka i czekającą przybycia ostatniego posłannika wieczności — śmierci. Ma na sobie staromodną, czarną, jedwabną suknię z obcisłymi, długimi rękawami, układającymi się w gęste fałdy u przegubu ręki; haftowany kołnierz odbija swą śnieżną białością od ciemnego stroju; tylko kilka włosków wygląda z pod czapeczki, ozdobionej dwiema jedwabnemi wstążkami. Oczy patrzą głęboko i życzliwie z pod brwi niemal wypadłych, nos jest delikatny; usta mają zarys łuku wygiętego wstecz, ale łagodny uśmiech igra około nich, jako wyraźny dowód spokoju duszy.

Nad jej głową wisiało w schludnym pokoiku, którego okna wychodziły na kwiecisty ogród, pięć do sześciu wielkich obrazów, przedstawiających bitwy Napoleońskie: pod Wagram, u mostu Arcole, pod Jeną, pod Austerlitzem, wreszcie śmierć księcia Montebello. Czego ona nie opowiadała o „wielkim cesarzu" i ile razy powtórzyła — zawsze z tą samą przyjemnością — anegdotę o „słońcu austerlitzkiem" lub historyę dumnego wyrzeczenia: „Z wysokości tych piramid patrzy na nas czterdzieści wieków!"

Ale słowami, które miały dla mnie w jej ustach prawdziwie oczarowujący dźwięk, były oprócz słów z pod Waterloo: „Gwar-

*) P. de Monte należy do najzdolniejszych pisarzów holenderskich młodszej generacyi. Obrazek, który podajemy, stanowi jedną z jego słynnych sielanek.

*) Kto o niego potrze, ukłuje się.

zdrowie swych pracowników mieli na względzie itd. Ponieważ działalność taka powinna wchodzić w zakres Towarzystwa hygienicznego, więc właściwie proponowana przez nas organizacya mogłaby być wydziałem hygieny wzroku przy Towarzystwie hygienicznem. Zdaje się, że gotowa już instytucya łatwiej to zadanie wzięłaby na siebie.

Tymczasem nie nie mamy przeciwko „oddziałom okulistycznym.“ Może one będą gońcami, wyświetlającymi właściwy stan rzeczy i przygotowującymi grunt do szerszej, skuteczniejszej działalności. Jako pogotowie ratunkowe, oddziały te, powtarzamy raz jeszcze — nie przyniosą wielkiego pożytku.

LISTY PETERSBURSKIE.

Pogróżki *Swieta*. — Szkoły wyższe dla kobiet. Tow. pomocy dla osób wstępujących w związki małżeńskie. — Reforma kalendarza. — Emigracya Finlandczyków.

Mamy w tece swojej mnóstwo spraw, których całkowicie ani wyczerpać, ani zużytkować nie można. Niektóre z nich — w znaczeniu kronikarskiem już są stare — ale pod względem społecznym i moralnym nieprzestarzałe. Stanowią one bowiem typowy prąd usiłowań, poglądów i chęci pewnego odłamu opinii publicznej i jej twórczyni lub przedstawicielki — prasy. Takie kwestye zawsze są na dobie i nigdy nie tracą swej żywotności; wskazują bowiem pewien nastrój stały, który nam pozwala wyprowadzić wnioski konkretne, oświetlające drogę. Do takich kwestyj nieprzestarzałych zaliczyć możemy zdanie *Swieta*, szczerze i otwarcie wygłoszone z powodu politechniki warszawskiej. Oto jest osnowa tych poglądów, uzupełniających napomnienia *Kijewlanina*: „W Warszawie, według gazet miejscowych (?), zrodziły się obawy, ażeby nie utracić otwartej niedawno politechniki. Powód do takich obaw daje postępowanie tych szczególnych polityków, dla których wszystko się skupia w nienawiści do Rosyi i do wszystkiego, co rosyjskie. Niewątpliwie istnieje pewna łączność pomiędzy tą szczególną polityką a niepokojami śród kształcącej się młodzieży, których następstwem było przerwanie lekcyj w wyższych zakładach naukowych. *Kijewlanin*, redagowany przez profesora uniwersytetu kijowskiego, p. Pichno, obeznanego ze sprawami uniwersyteckiemi, przypuszcza, że obawy warszawskie mogą mieć podstawy w pewnych warunkach. I my sądzimy — dodaje *Swiet* — że *Kijewlanin* ma słuszność. Gdy w ostatnich latach ujawniło się silne dążenie do wyższego wykształcenia technicznego i gdy różne miasta na wyścigi starały się o szkoły politechniczne i inżynierskie — rząd uwzględnił te zabiegi. W jednym tylko roku przeszłym otwarto szkoły wyższe w Moskwie, Kijowie i Warszawie. Gdy tymczasem inne miasta, jak Saratów, Woroneż, Jekaterynosław itd. pominięto i usunięto na dalszy plan, pomimo że one wyraziły gotowość złożenia znacznych ofiar pieniężnych. Widocznie rząd powodował się nie polityką, lecz interesami sprawy, jeżeli na kresach Warszawę obdarzył politechniką wcześniej, niż rdzenne miasta rosyjskie.“

W dalszym ciągu znajdujemy znamienną apostrofę, pogróżkę i powołanie się na przykłady historyczne: „Warszawa powinna mieć na widoku nie politykę, lecz interes; w przeciwnym razie, gdyby się okazało, że pewnym politykom udaje się maskowanie interesów realnych własnemi ich zmyśleniami, natenczas dobro ogólne, dobro tejże ludności warszawskiej i nadwiślańskiej każe poszukać dla wyższych zakładów naukowych ogniska dogodniejszego, dalekiego od polityki, w jednem z rdzennych miast rosyjskich. Przykłady takie już się zdarzały. Uniwersytet w Wilnie zamknięto dlatego, że profesorowie polscy, tacy jak Lelewel, postawili politykę po nad właściwemi zadaniami, po nad nauką i wykładami. Z tego samego powodu przeniesiono liceum z Krzemieńca do Kijowa i dano w ten sposób podstawę uniwersytetowi św. Włodzimierza. Wielkie fundusze, poświęcone na założenie tego liceum, nie przepadły, lecz otrzymały inne przeznaczenie. I dzisiaj służą one wielkiej sprawie oświaty. Podobnież milion zebrany w Warszawie na politechnikę, powinien być obrócony na wykształcenie techniczne, ale nie może być — wbrew interesom państwowym — uwięziony na wieki w instytucie warszawskim. Jeżeli wyniknie konieczność państwowa — to znajdą się sposoby wprowadzenia w wykonanie jej wskazań...“

Skoro mowa o szkołach i warunkach ich istnienia, nie możemy pominąć doniosłego faktu: zabiegów o wyższe kursy rządowe dla kobiet w Moskwie. Ruch w tym zakresie ujawnia się już nie po raz pierwszy. Prawie przed laty trzydziestu rozwinięto silną agitacyę na rzecz wyższego wykształcenia kobiet, a owocem tej pracy było otwarcie wyższych kursów niewieścich w Petersburgu i Moskwie, następnie zaś także w innych miastach uniwersyteckich. Ale oto nadbiegła inna fala pojęć, wionął inny wiatr zapatrywań na cywilizacyę, jej zadania i znaczenie; w r. 1886 zamknięto wszystkie wyższe szkoły żeńskie. Wkrótce jednak potem w Petersburgu otwarto ponownie kursy rządowe, w Moskwie zaś powstały tylko prywatne „lekcye zbiorowe“ przy miejscowem Towarzystwie guwernantek. Wreszcie, jak wiadomo, powstał niedawno instytut lekarski dla kobiet w Petersburgu. Świadczy to, że fala i wiatr, zatapiające wątły statek oświaty niewieściej, przeszły i że obecnie wygładziła się wielka powierzchnia wód społecznych, po której ma popłynąć naprzód rozwój cywilizacyjny mas. Przynajmniej tak wskazuje meteorologia społeczna w dostrzegalniach tych działaczów, którzy mają dobro publiczne na względzie.

Od paru lat istnieje w Moskwie towarzystwo, którego zadaniem jest zbieranie środków na utworzenie szkoły medycznej dla kobiet w tem mieście. Jednocześnie poruszono sprawę wyższych kursów żeńskich rządowych. Podobno władze właściwe przyjęły już przychylnie zabiegi w tej mierze. Starania poparto ofiarami materyalnemi. Niedawno na posiedzeniu ziemstwa moskiewskiego radni jednogłośnie uchwalili, ażeby ziemstwo wypłaciło wyższym kursom zapomogę w sumie 3,000 rb. rocznie. Nadto zmarły inżenier W. Astrakow zapisał 100,000 rb. na złożenie w Moskwie uniwersytetu dla kobiet z trzema wydziałami.

A więc sprawa, jak widzimy, jest na dobrej drodze: doprowadzenie zaś jej do skutku będzie miało doniosłe znaczenie nietylko społeczne, cywilizacyjne, lecz i ekonomiczne. Kobiety żarliwie szukają wiedzy wyższej, głównie specyalnej, jako podstaw istnienia materyalnego. Przekonały się one, że jedyne podstawy tego rodzaju — małżeństwo, są zawodne i nie dla wszystkich dostępne. W ostatnich jednak czasach spostrzegamy pewien ruch, oryginalny i znamienny, który usiłuje utrwalić insty-

---

dya umiera i nie poddaje się,“ proste zdania, wyrzeczone przez Wellingtona do swych żołnierzy.

— Wellington — opowiadała, a drżący jej głos budził wówczas głęboki szacunek — Wellington przebiegał szeregi angielskich żołnierzy i widać go było wszędzie, gdzie wrzał najgorętszy bój. Kule armatnie padały jak grad około jego konia, a jednak nie trafiały go. „Trzymajcie się dzielnie młodzi ludzie — wołał na swe zastępy, co powiedzą o nas w Anglii, jeśli nie umrzemy, albo nie zwyciężymy.“

Zdawała się mówić ze szczególniejszem upodobaniem o wojsku angielskiem, które wówczas stało na kwaterze w jej miejscu urodzenia, małem miasteczku belgijskiem Vinowe. Chwaliła zawsze jego uprzejmość, świetne stroje i bogactwo, a nie przestawała nigdy wspominać z rozczuleniem pewnego młodego oficera gwardyi przybocznej, umieszczonego w domu jej ojca.

Nazwiska szlachetnego „lorda,“ bo tak go nazywała moja babka — nie przypominam sobie. Ale obraz kreślony przez nią stoi jak żywy w mej pamięci. Był młodzianem smukłym, o jasnych niebieskich oczach, pełnych głębi, o jasnych włosach i młodzieńczej kędzierzawej brodzie. Miał także — dodawała — najpiękniejsze w świecie zęby.

Wszędzie w Belgii witano wojska „sprzymierzone,“ jak zbawcze. Tłumy wzburzone, udręczone tyloletniemi wojnami Napoleona, który wyludnił i spustoszył belgijskie wsie i miasta, pragnęły upadku Korsykańczyka i rzucały przybywającym Anglikom kwiaty pod stopy; to też i młodego kapitana gwardyi angielskiej przyjęto w domu fermera pana Smedta, ojca osiemnastoletniej wówczas mojej babki, panny Teresy niby wysłańca niebios i podejmowano jak najdroższego gościa. Trzy dni tylko trwał pobyt, ale tego krótkiego czasu dość było, aby węzły najserdeczniejszej przyjaźni połączyły wojownika i gospodarza.

Nadszedł rozkaz od sztabu, ruszyć ku Nijvelowi.

Kiedy nad miasteczkiem zajaśniał w różowym blasku dzień wymarszu, budzące się słońce było świadkiem dziwnego i wzruszającego widowiska. Przed każdemi drzwiami stały osiodłane konie; starcy, kobiety, młode dziewczęta i dzieci otaczały idącego do boju cudzoziemca, który przez kilka dni u nich zamieszkał. Płakano tu i łkano, ściskano sobie ręce i całowano się, rzekłbyś, synowie tych domów odjeżdżali. Błagające oczy wznosiły się wśród modlitw i westchnień ku niebiosom.

Tak było i u pana Smedta. Gdy piękny kapitan gwardyi przybocznej stał gotów w świątecznym uniformie i miał wskoczyć na siodło, ojciec, matka i córka wybuchnęli płaczem i jemu także, mężnemu młodzieńcowi spłynęły dwie łzy po twarzy. Tymczasem stary wąsal Jakob, jego sługa, stojący też przy nim szlochał jak dziecko.

— Boże błogosław waszemu orężowi — mówił Belgijczyk — Obyś pan zdrów nam wyszedł z walki! A piękny kapitan gwardyi przybocznej przyrzekł napewno wrócić po zwycięztwie do Ninove.

Należało tylko słyszeć, jakiemi barwami malowała prosta staruszka świetne przejście Anglików przez jej rodzinne sioło! Od szóstej rano do późnego popołudnia tętniły po brukowanych ulicach kopyta koni lub miarowe kroki piechoty.

Takiego wspaniałego widoku nie widziano jeszcze dotąd. Gwardya przyboczna ze swymi czerwonymi płaszczami, niebieskimi szarawarami, chwiejącymi się pióropuszami i złotymi naramiennikami, strzelcy szkoccy w pstrych mundurach i o nagich do połowy nogach, powiewające proporce, grzmiące bębny i buczące surmy, wszystko to oświetlone przez wspaniałe słońce czerwcowe, pod którem hełmy, szyszaki, lance i strzelby wydawały się zdala jak morze ognia, wszystko to płynące wśród wojowniczego rżenia koni i donośnych okrzyków tłumu: oto obraz,

tucyę małżeńską na podwalinach materyalnych. Oto w Libawie zaczęła działać nowa i jedyna w swoim rodzaju instytucya: Towarzystwo pomocy dla osób wstępujących w związki małżeńskie. Członkami mogą być tylko osoby pełnoletnie: mężczyźni od 21 roku życia i panny od 17-go. Towarzystwo składa się z 201 członków i może posiadać takąż samą liczbę kandydatów. Każdy uczestnik wnosi do kasy instytucyi składkę wpisową 3 rb. Członek, który zawarł związek małżeński, otrzymuje po ślubie zapomogę w sumie 300—750 rb. Wszyscy zaś inni wnoszą jednocześnie do kasy po 3 rb. Jeżeli kilku członków jednocześnie wstępuje w związki małżeńskie, to pozostali wnoszą składki swoje nie odrazu, lecz mogą je rozłożyć w pewnych terminach, ale w odstępach najwyżej trzytygodniowych. Zapomogi wtedy wydają się po kolei. Pierwszeństwo mają w tym razie ci, którzy wcześniej przedstawią świadectwo ślubu. Wysokość zapomóg zależy od ilości wniesionych składek. Jeżeli członek wniósł od 1—5, dostaje 300 rb.; jeżeli 6—10, natenczas może otrzymać 318 rb. Za 35 składek otrzymuje 400 rb., za 75 — 600, wreszcie za 100 składek, czyli za 300 rb. wniesionych do kasy Towarzystwa, może otrzymać 750 rb. Członek, który wniósł 100 składek, nadal jest już wolny od nich i otrzymuje prawo najwyższej zapomogi, a na jego miejsce wstępuje w poczet członków kandydat zapisany. W razie wystąpienia z Towarzystwa, członek otrzymuje $^3/_4$ składek bez procentów tudzież bez wpisowych trzech rubli i sumy, potrąconej na kary za nieregularne płacenie składek. W razie śmierci członka, spadkobiercy mogą odebrać całą jego sumę, wniesioną do kasy, bez procentów i składki wpisowej. Jeżeli narzeczeni są członkami Towarzystwa, to po zawarciu związku małżeńskiego zapomoga ich wynosi najmniej 600 rb. (po 300).

Ustawa tego jedynego w swoim rodzaju towarzystwa bardzo jest zbliżona do ustawy kas pogrzebowych, których w jednej tylko Libawie jest 24. Nową instytucyę mieszkańcy miasta przyjęli bardzo gorąco i odrazu zapełnili listę członków i kandydatów. Ze szczególną sympatyą powitali ją płci obojej młodzi pracownicy, których znaczna liczba musi dźwigać narzeczeństwo długi szereg lat z braku środków materyalnych. To też obecnie mieszkańcy Libawy starają się o założenie jeszcze paru takich towarzystw. Małżeństwo występuje tu niejednokrotnie jako interes, spółka pracowników. Narzeczeni zapisują się do Towarzystwa, ażeby pobrawszy się, módz założyć jakie przedsiębiorstwo handlowe lub przemysłowe, a następnie rozwijać je i popierać wspólną pracą. Bądź co bądź, nowa instytucya jest sympatyczną, bo popierwsze zapobiega nędzy młodych małżeństw, a więc usuwa przed nimi pochyłości moralne, a powtóre nie dopuszcza pasorzytnictwa lub wyzysku w spółce małżeńskiej.

Pomimo że sezon ogórkowy jeszcze daleko, w prasie rosyjskiej zapanowała jakaś cisza przedkanikularna. Dziennikarze zmęczeni poszli w ślady bakałarzów, którzy pragnąc wypocząć, zadają uczniom ciągłe „powtarzanie." Takie właśnie powtarzanie widzimy obecnie na szpaltach dzienników. Ciągle wracają te same kwestye, które już niezliczone setki razy roztrząsano. Dwie tylko sprawy obecnie najgoręcej są roztrząsane: reforma kalendarza i kwestya finlandzka. Co do pierwszej, wnosząc z poważnego jej traktowania przez niektóre dzienniki, oraz z nastroju pewnej sfery opinii publicznej, można wróżyć pomyślne jej rozstrzygnięcie. Kiedy jednak to nastąpi — trudno przewidzieć. Jak wiadomo, z inicyatywy Towarzystwa astronomicznego powstała komisya, złożona między innymi z delegatów ministeryalnych. Zadaniem jej będzie właśnie jak najrychlejsze opracowanie całej tej sprawy. Z powodu że jest ona na czasie, jeden z krytyków starego stylu podaje taki przykład dowcipny: Różnica pomiędzy dwoma stylami jest tak znaczna, że osoba, którąby z New-Yorku wyjechała 12 kwietnia, przyjedzie do Moskwy także 12 kwietnia. P. Awszijenko w *Now. Wrem.* tak się skarży: „Przy każdej wymianie korespondencyi rządowej i prywatnej z zagranicą, przy każdem otrzymaniu depeszy, przy czytaniu gazet, musimy dokonywać w myśli dokuczliwych rachunków. Gdy daty obu stylów zbiegają się w tym samym miesiącu, to jeszcze rachunek łatwy; ale gdy dotyczą różnych miesięcy, trzeba już pewnej pracy umysłowej. Gdy podług stylu starego mamy 19 kwietnia, za granicą jest już 1 maja. Sezon wiosenny uważa się za skończony i mnóstwo przedmiotów, dotyczących mody, ubrania, trybu życia, rozrywek, gier i ćwiczeń sportowych, przeszły tam do sezonu letniego. My tymczasem mamy do lata jeszcze daleko." Oczywiście powody błahe. Są przecież ważniejsze niedogodności: choćby rozkład jazdy kolejowej, który ze względu na różnicę dat nie jest jednocześnie zmieniany w całej Europie i Rosyi. Sprawia to znaczne utrudnienia w komunikacyi.

Co do sprawy finlandzkiej, pewną wrzawę zrobiła pogłoska, że Finlandczycy zamierzają emigrować, ażeby uniknąć ciężaru służby wojskowej. Podobno nawet pisma fińskie popierają ten ruch i wzywają klasy zamożne, ażeby pośpieszyły z pomocą wychodźcom. Prasa angielska wskazuje Neufundland jako ziemię najodpowiedniejszą do emigracyi, gdyż pod względem klimatycznym pokrewna jest z Finlandyą. Wychodźcy mogliby się tam poświęcić rolnictwu i rybołówstwu. Z tego powodu *Nowoje Wremia* czyni takie uwagi: „Dotąd Rosyanie wiedzieli, że od służby wojskowej ucieka Żyd, któremu tam dobrze, gdzie ma pieniądze. Teraz prasa fińska chce nas przekonać o tem, że Finlandczyk idzie za przykładem Żyda." Zdaje się, że w tych pogłoskach jest dużo przesady. Przedewszystkiem jest rzeczą nieprawdopodobną, ażeby Finlandczycy inteligentni chcieli zachęcać masy swego narodu do emigracyi i tym sposobem osłabiać siebie samych. Następnie zaś wiadomo, że skłonność ludności finlandzkiej do emigracyi istniała oddawna. Tak np. w r. 1884 z całego kraju wyemigrowało do Ameryki i Australii 1,400 osób. Zwykle tedy zjawisko w oczach niektórych publicystów urosło do rozmiarów nadzwyczajnych i nabrało barwy tendencyjnej.

Paweł Krzyżanowski.

Z NIEMIEC.

Zwrot. *Berlin, 4 maja.*

W świecie społecznym Niemiec, który niekiedy robi wrażenia chaosu, gdzie ściera się z rozmachem gromada rozmaitych potęg społecznych, gdzie krzyżują się wpływy niezliczonych czynników, występują z coraz większą wyrazistością dwa objawy, które przyjmują charakter stałych dążności rozwojowych: mam tu na myśli stopniowy upadek antisemityzmu politycznego i wzrastającą popularność reform społecznych.

Bankructwo programowego żydożerstwa w Niemczech, wyznaję, ma coś w sobie zagadkowego. Rasa germańska uchodzi na

---

jaki wywoływały przed nas proste jej, a jednak wymowne słowa.

*

A teraz mamy dzień 19 czerwca 1815 r. Już wczoraj przyszła do małego miasteczka belgijskiego wieść o klęsce Napoleona. Wiadomo już, że wojsko francuskie rozpierzchło się w dziesięciu kierunkach; imiona Grouchy'ego i Neya, Bluchera i Wellingtona, wiadomości o bitwach przy Quatre-Bras i La Haye biegną jak błyskawice z ust do ust. Lud gromadzi się na ulicach, dzwony dzwonią. Nareszcie nazwa nieznanej dotąd wioszczynyześrodkowywa w sobie myśli — Waterloo!

Wszyscy chcą widzieć pobojowisko. Chcą zobaczyć poległych, poszukać wśród nich synów, przyjaciół, krewnych, sąsiadów, albo też gości, którzy tak niedawno opuścili ich progi.

I stary Smedt zaprzągł do swego wozu najroślejsze konie i pojechał z córką nie do Waterloo, ale do Brukseli. Tam, w szpitalu Elżbiety, leżą setki ranionych. Krążą wieści, że dwadzieścia tysięcy żołnierzy angielskich poległo lub otrzymało rany, że więcej niż stu oficerów padło, a stu jest ranionych. Ojciec i córka chcieliby, jeśli to możliwe, dowiedzieć się o losie kapitana gwardyi, chcieliby go wyszukać w jednym ze szpitali, zanieść mu pociechę i pokrzepienie, a potem zawieźć do swojej wioski.

Za poparciem pewnej wybitnej osobistości otworzyły się ojcu i córce drzwi szpitali. Już obeszli niemal połowę, zapytali wielu ranionych oficerów o lorda *** kapitana w tym i w tym pułku gwardyi przybocznej — wszystko naprożno. Ani oni, ani nikt inny nie mógł dać im najmniejszego wyjaśnienia.

Nareszcie skierowali swoje kroki ku szpitalowi Elżbiety.

Tam przebiegli ojciec z córką, pełni smutku i tęsknoty, jak gdyby szło o syna albo o brata, długie i liczne, ciągnące się jedna za drugą sale chorych. Były one ciche i samotne, jak cmentarze, a jednak tak pełne cierpienia i boleści. Tu wije się na łożu okaleczałe ciało w drganiach przedśmiertnych; tam wzniosło się błagalnie w górę drżące ramię, podczas gdy głos ledwie słyszalny szepcze: „wody! wody!"; nieco dalej wynoszą na marach tylko co zmarłego wojownika na inne miejsce pobytu — tym razem ostatnie.

Naraz przy przejściu naszych podróżnych odzywa się głos przytłumiony łzami i jakby wyrazy strasznego wyroku obijają się o ich uszy słowa:

— Panie Smedt! panie Smedt! Mój pan zabity! Ach, ach! Mój pan zabity!

Stary człowiek blednieje i obraca się, młode dziewczę tuli się mocniej do siwego ojca, oboje poznają głos Jakóba, starego wąsala, sługi młodego bohatera.

*

„Mój pan zabity! Ach, ach! Mój pan zabity!"

Że sto razy słyszałem ten okrzyk z ust mojej babki. I często wówczas błyszczała w jej oku łza. Czy była to łza współczucia z wiernym sługą, którego krótki okrzyk świadczył o przywiązaniu do poległego bohatera? Czy było to może serdeczniejsze uczucie, uczucie miłości dla samego kapitana?

Nie wiem. Lecz nigdy nie zapomnę słów, które wypisałem na czele niniejszego obrazka, a ilekroć je będę wymawiał, pomyślę o wyruszającym do boju wojowniku i płaczącej dziewczynie flamandzkiej...

Miły czytelniku, czy mam słuszność, zachowując miedziany guzik od munduru?

Tłomaczył z holenderskiego

W. Bugiel.

świecie za przysłowiową w szowinizmie i zaciekłej nienawiści do każdego, kto ośmieli się przestąpić święty kordon jej wpływów i dążeń. Naród ten dał wprawdzie światu wielu szlachetnych marzycieli, lecz po dzień dzisiejszy nie zdobył się na bezstronność i tolerancyę względem tych, co nie mogą wyprowadzić swego rodowodu od rozmaitych Sigfriedów i Arminiuszów. Niemcy pierwsi poruszyli kwestyę ukształtowania życia społecznego na zasadach społecznej sprawiedliwości, lecz nie myślą rozciągać tej wzniosłej idei na obcoplemieńców, tych bowiem odsądza się od czci i wiary oraz wszelkich zasług na polu cywilizacyi. Zdawałoby się, że naród tak nieuleczalnie dotknięty ślepotą narodowego egoizmu powinien byłby w chwili rozpanoszenia się anti-semityzmu pierwszy przyłączyć się do tępicieli semitów. Co za dziwne zjawisko! Francuzi, którzy przed stu laty spędzali bezsenne noce nad sformułowaniem „praw człowieka,“ urządzają wstrętną nagankę na Żydów, podczas gdy ich „barbarzyńscy“ sąsiedzi pieszczą „napływowy“ żywioł semicki. A wszak niedawno jeszcze miał anti-semityzm i w Niemczech swe piękne dnie Aranżuezu. Jak meteor wypłynął na widnokręg społeczny „nowoczesny Luter“ w osobie Stöckera, świecące aureolą blasków frazeologicznych. Meteor ten miał stać się gwiazdą przewodnią, wskazującą drogę do ziemi obiecanej. Ewangelią społeczną ochrzcił swą magiczną formułkę, która rozwiązywała wszelkie łamigłówki ludzkiej myśli. Miłość bliźniego — oto kwintesencya dążeń ludzkich. Lecz dlaczegóż — zapytywano — owa miłość bliźniego, głoszona od setek lat z kazalnic i podręczników etycznych, nie usunęła gwałtu i mordów, od których roi się historya ludzkości? Skąd wzięły się nędza i prostytucya — dwie klęski, na których wspomnienie ścina się krew w żyłach każdego uczciwego człowieka? Skąd egoizm, brudna chciwość i brutalność? Stöcker bez wszelkich korowodów dawał na to odpowiedź prostą i jasną, jakkolwiek nie pozbawioną pierwiastku arcyhumorystycznego: wszystkiemu winni Żydzi. Żydowstwo jest ogniskiem zarazków egoistycznych, które bezwarunkowo należy wytępić lub — jeśli inaczej nie można — przynajmniej odosobnić lub obezwładnić. Całą tę teoryę „wszechmiłości ewangielicznej“ cechuje pojmowanie mitologiczne, które odrazu przemówiło do serc pewnej części chłopstwa Prus i Saksonii. Podobnie jak pierwotny dzikus kładzie na kark złych duchów wszelkie swe utrapienia, tak teraz wskazano Żydów jako powszechne uosobienie złego, coś w rodzaju średniowiecznego szatana, specyalisty od złych pokus i psot. Wszystko, co dzieje się złego na ziemi, jest pośrednio lub bezpośrednio dziełem rąk podstępnego żydowstwa. Upada rzemiosło: czyjaż to sprawka, jeśli nie Żydów, którzy zaprowadzają wielkie bazary tandety, jeśli nie Cohnów i Lewych, którzyześrodkowują w swych rękach wielki handel? Koleje, telegrafy i tunele są stworzone dla nich i przez nich. Czyż spekulacya zbożowa nie rujnuje rolnictwa, czyż banki żydowskie nie ściągają haraczu ze wszystkich klas społeczeństwa, czyż przemysł przesiąknięty miazmatami sobkostwa, nie czyni zadość wymaganiom żydowskiej etyki? Żydzi zarazili całe społeczeństwo instynktami przewrotnymi. Tak głosili Allach-Stöcker i Ahlwardt prorok jego, znany zresztą więcej w świecie politycznym ze swych nieprzyzwoicie rozdartych spodni, niż jakichkolwiek poglądów. Ahlwardt ma jednak tę wiekopomną zasługę, iż w dwu wypadkach otworzył Germanom oczy. Odkrył on, iż w roli modelu dla najokazalszego pomnika berlińskiego pozowała córka Bleichrödera, a fabryka Lowego wyrabiająca broń dla wojska dopuściła się pono nadużyć. Teraz dopiero mogli anti-semici ostentacyjnie wystawić pod pręgierz opinii publicznej niemieckie żydowstwo. Znalazło się nawet trzech uczonych, którzy zaprawili anti-semityzm sosem filozoficznym, jak teolog de Lagarde, spirytysta Zöllner i ślepy filozof Dühring, obaj cierpiący na manię prześladowczą. Agitacya anti-semicka z początku przyniosła dość obfity plon. Kilka okręgów wyborczych przeszło do ich rąk. Nawet Berlin chwiał się. Miejsce prof. Virchowa, jako jednego z sześciu posłów berlińskich, miał zająć Stöcker. Wprawdzie już wtedy odzywały się głosy sceptyków, którzy nazywali te zwycięztwa Pyrrhusowemi. Bo z jakiejże racyi Hesya, gdzie często w obrębie kilkunastu mil nie znalazłbyś Żyda nawet na lekarstwo, z jakiej racyi księstewko to tak gorliwie garnęło się do apostołów anti-semickich? Rzeczywiście wkrótce jakoś powodzenie przestało się uśmiechać żydożercom. Poznano się prędko na ich farbowanych lisach. Przedewszystkiem od stronnictwa Stöckerowskiego odłączyła się grupa idealistów, która utworzyła z pastorem Naumannem na czele partyę „narodowo-społeczną,“ przyczem wyraziła gotowość przyjmowania Żydów do pocztu członków. Następnie zdemaskowano rzeszę wodzirejów anti-semickich, jako zgraję opryszków z pod ciemnej gwiazdy. W całym sztabie generalnym krzykaczy żydożerczych znalazł się jeden mąż uczciwy bez skazy moralnej — był to Böckel, który jeden wystąpił ze stronnictwa. Stöcker, miodopłynny kaznodzieja o rozrzewniającym patosie, okazał się niecnym faryzeuszem, którego kilkakrotnie z inicyatywy własnych kolegów (np. pastora Wittego) pociągano do odpowiedzialności za krzywoprzysięztwo. Uchodzi on dziś za osobistość tak dalece skompromitowaną, iż wszelkie korporacye wykreśliły apostoła ewangelii wszechmiłości z listy swych członków. Co najgorsza, anti-semici złożyli dowody teoretycznego ubóstwa. Wyszło na jaw, iż ich program ekonomiczny i działalność parlamentarna są w bardzo luźnym związku z zasadniczem żydożerstwem, przez co dowiedli sami, iż zbawienia należy dla protegowanego przez nich średniego stanu szukać gdzieindziej, a nie w tępieniu i dziecinnem a ordynarnem szykanowaniu Żydów. Na domiar złego rozpoczęły się swary osobiste, które doprowadziły stronnictwo do zupełnego rozprzężenia. Podczas ostatnich wyborów doznało ono sromotnej porażki. Z swego dorobku politycznego zachowało połowę zdobytych niegdyś okręgów, które podobno również grożą rokoszem. Rozmaici przedstawiciele inteligencyi, którzy przylgnęli do tego obozu, opuszczają na podobieństwo myszy tonący okręt. Między innymi najzdolniejszy dowódca tej grupy, Forster odłączył się od macierzy politycznej. Lecz oto w chwili rozpaczy i upadku zjawił się mąż opatrznościowy w osobie hr. Pücklera. Pan hrabia, który trzyma wysoko sztandar średniowiecznych tradycyj, wygłosił trzy radykalne mowy przeciwko Żydom: dość gadaniny — wołał — czas uderzyć w czynów stal: naród niemiecki, znany (oj znany! *Red.*) ze swej potulności, powinien powstać przeciwko Żydom i wyciąć wszystkich w pień. Ażeby dodać nieco okrasy biblijnej swym wywodom, hrabia wystąpił w trzeciej mowie, jako jasnowidzący wieszcz: przepowiadał Żydom świetlaną przyszłość nie na polach Elizejskich, dokąd mieli ich wyprawić rdzenni Germanowie, lecz w Palestynie, gdzie ich czeka stanowisko „Mesyasza narodów.“ Anti-semici przysięgali, iż oracye te wywarły potężne wrażenie na społeczeństwie. To też pośpieszyli postawić jego kandydaturę podczas wyborów uzupełniających w drugim okręgu berlińskim, które odbyły się przed miesiącem. Pan hrabia nie zawiódł nadziei swych druhów politycznych, gdyż z 38 tysięcy oddanych głosów zdobył aż całych 150! Należy przypuszczać, iż niemieckie społeczeństwo tak „zżydziało,“ że traktuje lekkomyślnie rady swych najżyczliwszych opiekunów. Antisemici nie dali jednak za wygranę. Ponieważ nie popłaca szkalowanie Żydów, tembardziej iż ci ostatni zajęli sporo zaszczytnych miejsc w nauce, sztuce, literaturze i działalności społecznej, należy pokazać światu ich okrucieństwa. Koszerna rzeź bydła ma być najpotworniejszem świadectwem ich brutalności. Wniesiono więc do parlamentu projekt zakazu tej metody rzeźniczej w imię opieki nad zwierzętami. Los jakoś i tu nie dopisał anti-semitom. Dowódca katolickiego centrum dr. Lieber oświadczył przed tygodniem w imieniu stu kilkunastu katolickich posłów, iż nigdy nie przyłoży ręki do zamachu na tolerancyę religijną, która jest jednym z najkardynalniejszych obowiązków państwa. Zresztą — odparł — holenderski minister spraw wewnętrznych polecił niedawno koszerną rzeź bydła jako najbardziej licującą z „humanitarnemi“ dążeniami naszej epoki. Parlament odrzucił projekt anti-semicki jako dziecinny wybryk, do którego nie można przywiązywać żadnej wagi. Że ruch anti-semicki goni ostatkami, dowiódł niedawno inny jeszcze fakt. Pismo Stöckerowskie „Volk,“ które wychodziło od lat kilkunastu zostało zawieszone wskutek braku czytelników. *Sic transit gloria mundi!*

H. P.

BEZIMIENNOŚĆ I PSEUDONIMY.

(Przyczynek do etyki dziennikarskiej).

Z pewnem zdziwieniem wyczytałem swoje nazwisko w ostatnim numerze *Głosu*. Wylazło ono z pod pióra p. △. zaiste żywiołowo. Może w innym przypadku nie podnosiłbym tej sprawy, gdyby nie to, że autor do swojej nieco histerycznej zaczepki dodał cały oderwany traktacik o publicystyce, i do tego dodał, między innemi, „na mój pożytek i użytek.“ Wygłosił tam zapatrywania, nad któremi zastanowiłbym się nawet wtedy, gdyby nie były tak wyraźnie skierowane przeciw mnie. Teza sama nic nie ma takiego, czego nie można byłoby traktować przedmiotowo. Ale rzecz, rozpoczęta *ad hominem*, ma to do siebie, że z trudnością daje się sprowadzić na grunt zupełnie bezosobisty. Wybaczy mi więc autor, ukrywający się pod trójkącikiem, że użyję jego postępowania, jako ilustracyi do wywodów niniejszego artykułu.. I zaczepka i rozprawka teoretyczna p. trójkąta niewątpliwie mają jedno na celu — oczyszczenia własnej osoby od pewnych zarzutów, mianowicie, iż parokrotnie, kiedy należało podpisać swoje nazwisko, ręka jej postawiła pseudonim.

Teza p. △. brzmi (przytaczamy dłuższy wyjątek, ponieważ pragnęlibyśmy możliwie dosłownie zcharakteryzować nowe zasady walki i wogóle działalności dziennikarskiej):

„Pseudonimy służą nietylko do wygodnego strzelania z za płotu, lub maskowania swej roli i pracy, zwyczaj osłaniania się przezwiskiem ma znaczenie głębsze, zwłaszcza w dziennikarstwie i w publicystyce. Tutaj spotykają się nie nożownicy, ani rycerze sławy żądni, ani podchmieleni jarmarkowicze, ani honorowi młodzieńcy w żółtych kamaszach, jeno poglądy i przekonania. Im bardziej ideową jest robota, tem mniej wartości posiada znaczek *X* lub *Z*, szczególniej na wypadek sporu. Zamiast całego człowieka z jego właściwościami osobistemi, z jego namiętnościami, zaletami lub wadami, z atmosferą osobistego wpływu czy też przymiotów odpychających, występuje li tylko oderwana treść przekonaniowa jednostki, wspólna jej z całem gronem współpracowników. Powieściopisarz, poeta, dają ogółowi wszy-

stką duszę, całkowitą indywidualność, o tyle właśnie na uwagę zasługując, o ile indywidualna ich natura wypowiada się w pełni nagiej, szczerej, bezpośredniej. Ale dziennikarz czy publicysta w chwili, gdy czynności powołania swego wykonywa, jest osobą całkiem fikcyjną: jest piórem, nie ręką; głosem, nie ustami; echem nawet najczęściej, nie głosem. Oczywiście, i on wkłada w pracę swoją wiele samego siebie, wszakże zabarwienie osobiste nigdy prawie nie bywa tak silne, żeby zacierało linie rysunku logicznego o stylu, łatwo dającym się rozpoznać i wspólnym wielu wyznawcom danej zasady. Wobec tego, co za znaczenie mieć może dla publiczności fakt, że pod literą *A* ukrywa się pan Olchowski, pod literą zaś *B* pan Wiązowski? Ludzie pospolici są pionkami bezimiennymi, przesadne ambicye ośmieszają ich tylko.“

Tak głosi traktacik p. trójkąta. Przyznamy się odrazu, iż z całego tego rozumowania wynieśliśmy jedno tylko wrażenie, które moglibyśmy oddać jędrnem przysłowiem: nie kijem go, lecz pałką. Dziennikarstwo zna jedynie dwie formy stosunku autora do napisanego artykułu: zupełnie bezimienną i imienną, pseudonim bowiem jest bądź co bądź imiennością. Jeśli zamiast podpisać swoje nazwisko, używam pseudonimu lub nawet tylko inicyału lub jakiegoś znaczka, bynajmniej nie wyrzekam się swej osobistości ani poczucia indywidualnego. Gdyby więc mój polemista przytoczył podane argumenty na korzyść bezimienności dziennikarskiej, rozumiałbym takie postępowanie: w publicystyce występuje tylko „oderwana treść przekonaniowa jednostki, wspólna jej z całem gronem współpracowników,“ „dziennikarz w chwili, gdy czynności powołania swego wykonywa, jest osobą całkiem fikcyjną,“ „piórem nie ręką, głosem nie ustami, echem najczęściej nie głosem.“ Wobec takich zapatrywań najnaturalniejszym byłby wniosek, że dziennikarzowi zgoła nie potrzebnem jest nazwisko. Ale to wszystko, co przytoczyłem, zostało napisane w obronie pseudonimu! Zaprawdę, nie umiem się połapać w pajęczynie tego rodzaju wywodów, bo pseudonim bądź co bądź jest zamaskowaną indywidualnością. Bo czy nie o własną osobistość tam chodzi, jeśli ktoś, nawet używając dziesiątka pseudonimów, podpisuje się troskliwie pod każdą wzmianką, przez siebie zamieszczoną, przyjaciele zaś jego, w chwili rozczulenia, drukują je wszystkie z podaniem właściwego nazwiska, byleby świat nie zapomniał o indywidualności, tak różnoimiennej, i umiał ją odszukać pod możliwemi przyłbicami.

Ludzie pospolici są pionkami bezimiennymi, a jako tacy, winni posługiwać się pseudonimami, tj. zamaskowaną indywidualnością — taką jest logika publicysty, ukrywającego się pod trójkącikiem! Bezimienności i pseudonimy dzisiaj zapanowały w świecie dziennikarskim i, dodajmy, z nią etyka korsarska. Jest to wynik dzisiejszego ukształtowania się prasy, która ma bardzo poważne powody ukrywania osobistości piszących. Zaiste, przedstawmy sobie, iż plotki i ploteczki, z których składa się tekst jakiegoś np. *Kuryera*, są podpisane każda przez tego, kto ją dostarczył. Pismo takie jest potrzebne na rynku dzisiejszej strawy umysłowej, ale ci, którzy ją przygotowali, sami chętnie zrzekają się wszelkiej imiennej sławy. Są to ciury zastępu dziennikarskiego, którzy nie czują żadnej chęci ponoszenia odpowiedzialności za swoje czyny i liczenia się z własnem nazwiskiem. Zwyczaj, podtrzymywany przez reporteryę i zgoła zrozumiały z punktu zadań, spełnianych przez nią w społecznym podziale pracy, rozpowszechnił się i na inne działy publicystyki. Powyżej przytoczyliśmy twierdzenie, że dziennikarz w chwili, gdy czynności powołania swego wykonywa, jest osobą całkiem fikcyjną, piórem nie ręką, echem nawet najczęściej, niż głosem. Nie, fałsz to wierutny, a co więcej, sofizm, otwierający naoścież wrota zdjęciu z publicysty wszelkiej odpowiedzialności! Ostrożnie z takiemi hasłami, bo pod niemi ukrywa się zabagnienie! Naturalnie, publicysta nie odpowiada za swój styl, ani głoszone przezeń przekonania nie są jedynie jego osobistą własnością: jest on przedstawicielem pewnego obozu i broni jego haseł i zapatrywań. Ale choć tylko prosty szeregowiec, nie jest przecież fikcyą. Jako dziennikarz, stoi on na pewnem imiennem stanowisku, zajmując wyraźną i wpływową rolutę. Przedewszystkiem jest on odpowiedzialny za swoje przekonania. Bezimienność znosi tę odpowiedzialność. Może dzisiaj zalecać społeczeństwu pewne lekarstwo, jutro pospieszy już z odtrutką przeciw temu, co sam przed paru laty, ba, nawet miesiącami lub tygodniami zalecał. Jest ukryty, nic go więc nie powściąga od pospolitej tandety i w jego życiu niema środków, stwarzających ciągłość poglądów. Naturalnie, wiem dobrze, iż publicysta musi niejednokrotnie zmieniać swoje rady praktyczne, stosownie do warunków, i że uporczywe trzymanie się jednego nieraz jest szkodliwem (mówię nie o zasadniczych zapatrywaniach, ale o podrzędnych punktach, wysuwanych przez życie codzienne). Lecz owa zmienność jest czemś zgoła różnem, wypływającem z lekkomyślności i braku zastanowienia się nad traktowanym przedmiotem. Bezimienność właśnie stwarza taki stan rzeczy. Można być publicystą bardzo nieindywidualnym, istotnem „echem,“ czego zresztą nikomu nie życzymy w imię dobra publicznego, a przecież to wszystko nie wyklucza jeszcze odpowiedzialności, ani nie uprawnia nas, ażebyśmy słowem swojem bronili anonimu jako rzeczy pożytecznej. Bezimienność powstała tylko jako jeden ze sposobów brojenia złego i nieodpowiadania za swoje czyny. Do tego dodajmy jeszcze jedną okoliczność. Szanowny polemista zapewnia nas, że w publicystyce potykają się nie nożownicy, ani rycerze sławy żądni, ani podchmieleni jarmarkowicze, ani honorowi młodzieńcy, tylko poglądy i przekonania. Czy nie za wiele złudzeń! Bodaj iż wzięto to, co być powinno, za to, co jest. Dziennikarstwo, jak niestety wszyscy wiemy dobrze z doświadczenia, aż nazbyt często daje schronienie i pospolitym nożownikom i wydętym ambicyom i najgminniejszym jarmarkowiczom i ordynarnym nierządnikom ducha. Ścierają się tam zapatrywania i poglądy, ale nie zbywa i na najgminniejszej prywacie i na najnikczemniejszych insynuacyach. Walka przekonań toczy się przez ludzi i za pośrednictwem ludzi, a trudno wymagać, ażeby zapomnieli oni, iż są ludźmi. Owa urojona fikcya, jaką ma być publicysta podczas spełniania swoich czynności, posiada swoje prywatne rachunki z tym lub owym przeciwnikiem, pała zemstą za poniesioną porażkę, a ponieważ umiejętność pisarska nie chodzi i nie musi chodzić w parze z uczciwością lub nawet powściągliwością, przeto z poglądami wiążą się jakoś osobistości. Bezimienność i pseudonim niezmiernie sprzyjają takiemu dokonywaniu osobistych obrachunków pod taką lub inną maską — bardziej, niż imienny sposób obrony swoich zapatrywań. Poeta posiada indywidualność twórczą, podpisuje się, ponieważ pragnie powiedzieć światu, iż istnieje. Publicysta zwykle takiej odrębności nie posiada, ale powinien być także imiennym, ażeby nieść i być zawsze gotowym nieść odpowiedzialność za każdy wyraz przez siebie napisany.

Bezimienność stworzyło życie, to samo życie, które powołało nierząd na ulicach. Trzeba liczyć się z faktami, stąd przecież bynajmniej nie wynika jeszcze, ażebyśmy mieli sofizmatami swymi uprawniać taki stan rzeczy. Owszem, są pojęcia i stosunki, przeciw którym należałoby walczyć ludziom uczciwym bez różnicy przekonań, bo są to kwestye już nie partyjne, ale o wiele szersze. Do takich wymagań etyki publicznej w zakresie zawodu dziennikarskiego postawiłbym na pierwszem miejscu odpowiedzialność za każdy wiersz napisany, tj. zamieszczanie swego nazwiska.

Przechodzimy teraz do pseudonimów. Jakeśmy już zaznaczyli, autor traktaciku o etyce publicystycznej używa podanych powyżej argumentów dla obrony nie bezimienności, ale imienności pseudonimowej. Cała więc jego polemika przeciw imienności w dziennikarstwie (pamiętajmy, że mowa nie o brakowem dziennikarstwie *Dziennika dla wszystkich*, ale o publicystyce w łamach *Prawdy* i *Głosu*) jest w gruncie rzeczy wielkiem nieporozumieniem. Chodzi tutaj o indywidualność, ale ukrytą. Pseudonim już świadczy, iż ktoś nie pragnie być pospolitą fikcyą, prostem echem, lecz życzy sobie, ażeby go wyróżniono od innych i nauczono cenić jako taką, do pewnego czasu zamaskowaną indywidualność. Naturalnie, jest cały szereg wypadków, w których użycie takiej przyłbicy jest zupełnie uprawnione, niekiedy ona może nawet stać się drugiem nazwiskiem i stworzyć ową odpowiedzialność, o jaką nam chodzi. Za przykład może służyć taki Bolesław Prus, który pod tem przybranem mianem czuje swoją odpowiedzialność tak samo, jak kto inny, występując pod właściwem nazwiskiem. Ale są wypadki, kiedy pseudonim jest tylko objawem tchórzostwa i dostarcza ukrycia dla czynów i pobudek złej woli. Ilekroć kwestya dotknie osoby czyjejś, to tylko pseudonim powszechnie znany jest dozwolony, wszelkie chowanie swojego „ja“ zaczyna wyglądać na podejrzane, bo może ułatwiać i ułatwia pospolite korsarstwo dziennikarskie. Podpisywanie się w pewnych razach pełnem nazwiskiem swojem (lub pseudonimem w rodzaju Bolesława Prusa, co na jedno wychodzi) jest niemal obowiązkiem, w każdym zaś razie dowodem poczucia godności swojej i tej zasadniczej prawdy, że nie strzela się z ukrycia przeciw osobom, tylko jawnie, jak czynili rycerze średniowieczni. To nie megalomania, jak może wydawać się szanownemu trójkącikowi, ale pewne *imperativum* wewnętrzne, głoszące, że w pewnych sytuacyach mówi się swoje imię. Z p. △ dwa razy miałem zatarg i w obu razach wytknąłem mu jego chowanie się. Ponieważ oba przypadki nadają się do ilustracyi niniejszych wywodów, przeto pozwolę je tutaj sobie powtórzyć.

Mniej więcej przed dwoma laty, z powodu mojej polemiki z Z. Heryngiem w Towarzystwie przemysłu i handlu, ukazał się w szpaltach *Głosu* artykuł, posuwający się do tak marnych względem mnie insynuacyj osobistych, że niemal z podobnemi nie spotykałem się. Zarzuty, robione wymienionemu prelegentowi, drukowałem w *Prawdzie*, artykuł zaś swój poświęciłem autorowi napaści z życzeniem, ażeby w przyszłości oduczył się ukrywać pod pseudonimami, oświadczając, że dla tego rodzaju postępowania mam jedynie — podziw. Owym pseudonimem był p. △.

W roku bieżącym pisałem recenzyę o książeczce p. J. Steckiego. Trzymałem rzecz w tonie bardzo przedmiotowym i w niczem nie dotknąłem osoby autora, jako człowieka, zaznaczyłem tylko, iż jest on przedstawicielem poglądów drobnomieszczańskich. Na to w *Głosie* ukazała się odpowiedź p. △ — jak okazało się, jest to pseudonim p. J. Steckiego, który w taki sposób bronił własnej osoby, jako czegoś od siebie odrębnego. Rzecz byłaby komicznie dziecinna, gdyby nie to, że trójkącik, ujmując się za p. Steckim, w sposób bardzo nieprzedmiotowy obszedł się z moją umysłowością i obdarzył mnie słownikiem różnych epitetów, wyglądających na mocno niegrzeczne i mocno osobiste. Pseudo-

nim w tym razie dał bronącemu się autorowi rozmach, z jakiego nie skorzystałby, używając właściwego swego nazwiska.

Występując przeciw pseudonimom i w obu razach podpisując się swojem nazwiskiem, pragnąłem tylko napiętnować pewne postępowanie, które uważałem i uważam za mocno niewłaściwe. Obrona takiego użycia nieznanych pseudonimów, to wprowadzenie zabagnienia moralnego do publicystyki. Kończąc artykuł swój, skorzystam ze słów p. △: „Poglądy powinny być ganione, roztrząsane, chwalone, wyszydzane i mordowane bez wzmianki o osobie“ i dodam: dla odpowiedzialności podpisywane. Zdaje się, iż w poprzednich zatargach z p. △ nie przeniewierzyłem się tym zasadom. Szkoda, że mój polemista, chociaż umiał je sformułować, nie umiał zastosować ich w praktyce.

K. R. Żywicki.

IDEAŁ DOBRA

ze stanowiska hygieny ciała i duszy.

(Odczyt publiczny na Osady rolne).

I.

Podczas gdy przyroda powinnaby dla nas być najlepszą księgą i najprawdziwsze wskazywać nam zadania życia, przez powierzchowne na nią patrzenie i przez lekkomyślne przenoszenie sposobów, w jakich przejawiają się ogólne prawa z jednej dziedziny zjawisk do innych, dochodzimy do najbłędniejszych tłomaczeń praw natury. Takim olbrzymim błędem jest tak rozpowszechnione niestety przenoszenie zasady walki o byt ze świata zwierzęcego w ludzki. „Walka o byt i to walka krwawa jest prawem natury“ — wołają młodzieńcy i starcy i w myśl tego hasła rzekomo przez przyrodę samą nam wskazanego w najokropniejszy sposób zbezczeszczają ideał dobra, a łudząc siebie samych, zamiast bronić interesów własnych, najbardziej je krzywdzą. Gdy baczniej wejrzymy w księgę przyrody, wyczytamy tam tylko olbrzymiemi głoskami wypisane prawo powszechne dążności do rozwoju, nieustającego doskonalenia się przejawów bytu na ziemi. Dążeniem tem było wszakże już stygnięcie ziemi i kształtowanie się skorupy jej, wytwarzanie się lądów i wód, a wszakże były przy tem wszystkiem w grze czynniki zupełnie innej kategoryi, aniżeli walka o byt. Nawet wśród istot ożywionych walka o byt małą tylko obok innych czynników rozwoju zajmuje przestrzeń. Pomijając już ogólniejsze od niej pojęcie doboru naturalnego, przyznać musimy, że jako łono samicy daje warunki, wpływające na rozwój płodu w pewnym kierunku, ale kierunek ten zależy głównie od natury zarodka, który już w istocie swej posiada niejako wszczepioną konieczność takiego a nie innego rozwoju, tak ziemia nasza, stanowiąc łono macierzyste, na którem powstał i żyje cały świat, wpływa wprawdzie ze swojej strony przez warunki bytu na kształtowaniu się życia organicznego, ale to urzeczywistnia się przedewszystkiem dzięki związanej z najpierwotniejszą formą istot ożywionych konieczności takiego a nie innego rozwoju, takiej a nie innej odpowiedzi na warunki bytu, jakie daje ziemia. Przyroda nas tedy naucza, że z bytem sprzężoną jest konieczność rozwoju, który nam się przedstawia jako stopniowe doskonalenie. Zrozumieliśmy tedy dobrze wolę, że się tak przenośnie wyrażę, natury, jeżeli świadomość naszą przenika konieczność dążenia ludzkości do rozwoju, do nieustannego postępu. Ale czyż czynnikiem tego procesu w świecie ludzkim, w tem tak wybitnie wyróżniającem się, olbrzymiem rozwinięciem mózgu i tak wybujałą dziedziną czynności duchowych, odrębnem królestwie istot ma być wyłącznie ów cząstkowy czynnik, jakim jest walka o byt?

Rozwój polega przedewszystkiem na wytwarzaniu się coraz bardziej złożonych organów i czynności. W szeregu istot norganizowanych najpóźniej występuje układ nerwowy, w dalszym przeto rozwoju tego układu należałoby się spodziewać wybitnego wzrostu nowych przejawów bytu, i w istocie układ współczulny, względnie prosty, przedzierzga się w bardziej złożony mózgo-rdzeniowy, a w tym ostatnim, już w pierwszych fazach spostrzegamy szczególnie wybitnie rosnące powikłanie budowy mózgu. Należałoby znowu przewidywać, że mózg będzie organem stanowiącym nowy wykładnik postępu świata zwierzęcego. I rzeczywiście z rozwojem mózgu występują na arenę nowe zupełnie, a tak doniosłe przejawy życia duchowego, które do zadziwiającej potęgi dochodzą u człowieka. Zarówno powikłanie w budowie mózgu, jak przejawy ducha tak potężnemu ulegają rozwinięciu, że trudno wątpić, iż w świecie ludzkim mózg i duch to właściwe pole postępu i dalszego doskonalenia się. A gdybyśmy przyznali, iż walka o byt i tu jest czynnikiem rozwoju, to zastanowić się godzi nad tem, czem bywa pojęcie „silniejszego“ w różnych kategoryach istot żyjących. W królestwie roślin większa siła tkwi w większej odporności biernej wobec czynników zewnętrznych, w większej energii najelementarniejszych czynności życiowych, jak: wchłanianie, rośnięcie, mnożenie się itd. W królestwie zwierzęcem pierwsze miejsce, obok innych czynników, zajmuje siła mięśni oraz doskonałość narzędzi obrony czynnej i walki zdobywczej, jak: zębów, pazurów, rogów itp.

W świecie ludzkim, gdzie najwalniejszym wynikiem osiągniętego rozwoju jest władza ducha, siłę, stanowiącą najpomyślniejsze warunki bytu i dalszego rozwoju, stanowić musi przedewszystkiem czynność tego ducha.

To, co w tej dziedzinie jest najlepszem i najwyższem musi być dla człowieka orężem, którym on najskuteczniej walczyć może i zwyciężać. W tem tylko znaczeniu można do świata ludzkiego przenosić pojęcie wysoce uszlachetnionej i odmiennej walki o byt, jako skutecznego czynnika pomyślnego rozwoju.

Jakież to są najlepsze władze w dziedzinie ducha człowieczego? W umyśle — krytycyzm i twórczość, w uczuciu — miłość! Tak jest, jeżeli śród zwierząt istotnym i wielce skutecznym czynnikiem rozwoju była i będzie walka na gniewy, zagrzewana i podsycana przez głód i żądzę, to śród ludzi takim czynnikiem może być tylko walka miłością, dyktowana przez trzeźwe zrozumienie istotnego interesu własnego.

W jaki to sposób, u ludzi, najrozumniejszym egoizmem jest jaknajżywszy altruizm — powiedzieliśmy wyżej. Wygląda to na paradoks, ale tylko krótkowidz może sądzić, że jak w świecie zwierzęcym, tak i w ludzkim jedynie egoistyczna troska o własne interesy jest najlepszą ich obroną. W tym ostatnim najdzielniejszą orędowniczką interesu osobnika jest społeczna harmonia, a najwalniejszym warunkiem pełni tej harmonii jest: jaknajbardziej natężone i jaknajbardziej powszechne urzeczywistnianie ideału dobra. Zwolna, w naszem pojęciu czasu, dźwiga się rozwój w przyrodzie, zwolna, ale bezustannie. To też i w najwyższej formie życia na ziemi, w życiu ludzkiem, siła fizyczna i wogóle walka brutalna, wydoskonalona przez współdziałanie inteligencyi, niemałą grała i niestety dotąd jeszcze gra rolę w sprawie rozwoju. Ale historya uczy nas, że nieraz już sama siła ducha i to najpiękniejsze jego władze odnosiły największe zwycięztwa nad potęgą fizyczną i nad nizkimi popędami. Najwybitniejszą tej prawdy illustracyą są tryumfy pierwszego chrześciaństwa.

Wszakże pod wpływem filozofii humanitarnej zeszłego wieku zniesiono tortury i poddaństwo ludu. Wszakże emancypacya Żydów w krajach Europy była daną przez rozwój ducha sprawiedliwości i ludzkości a nie wywalczoną przez nich.

Również prawa kobiety, które stale i stopniowo przyznaje jej ustawodawstwo współczesne, są owocem powszechnego rozwoju najdodatniejszych władz ducha.

Głębsze wejrzenie w istotę przyrody, każe nam spodziewać się, iż to, co najwyżej wykwitło w organizacyi ludzkiej, wielkie uczucie miłości, poparte krytycyzmem wysoko rozwiniętego rozumu, stanie się punktem wyjścia dalszego rozwoju; a ponieważ miłość, oświecona rozumem, daje to, co nazywamy istotnie *dobrem*, należy sądzić, że czeka przyszłe pokolenia wielki rozwój dobra. A jako samoobroną życia i jego interesów w najniższych tworach organicznych jak *odruch*, jako w wyższych, samoobroną są instynkty i popędy bezwiedne — tak dla człowieka najgłówniejszą osłoną interesów, zarówno ciała jego, jak ducha — jest i będzie spełnianie ideału dobra.

Dr. H. Nusbaum.

FEJLETON.

PAMIĘTNIK.

Obniżony poziom.

Niepowodzenie odczytów publicznych, zwiększające się z każdym rokiem, usiłowano w prasie wytłomaczyć rozmaitemi przyczynami. Jest to faktem rzeczywiście smutnym i zasługującym nietylko na to, ażeby go rozumieć, ale i na to, ażeby mu przeciwdziałać. W jednym z poprzednich numerów zaznaczyliśmy, że jest on wynikiem osłabnięcia w społeczeństwie zamiłowania do nauki. Jakkolwiek objaw ten nie ulega wątpliwości, nie sam on wytwarza owo niepowodzenie. Współdziałają tu jeszcze inne czynniki, między którymi jednym z najważniejszych jest obniżenie się poziomu wykładów. Wówczas kiedy one cieszyły się największem uznaniem, były rozprawami, jeżeli nie zawsze oryginalnemi, to zawsze starannemi. Każdy z prelegentów starał się wybrać przedmiot zajmujący, a nadto opracować go sumiennie, wyczerpująco i wytwornie; katedra odczytowa była miejscem występów uroczystych, do których przygotowywano się długo i należycie, słuchacze gromadzili się również w odpowiednim nastroju. Dziś najczęściej wygłaszane są albo pospieszne improwizacye, albo rozdziały z podręczników naukowych. Pomijamy pierwsze, które nie przedstawiają żadnej wartości; co do drugich zaś, szczerze mówiąc, nie pojmujemy wcale, na co podejmowane są liczne i bardzo kłopotliwe zabiegi — pisania, przepisywania, wyjednywania pozwolenia i wynajmowania sal, jeżeli ich owocem ma być wydeklamowanie publiczne kilkunastu kart z jakiejś książki naukowej, które każdy może sam sobie odczytać bez wydatku, bez kupowania biletu i chodzenia w mróz lub szarugę na prelekcye? Strata czasu i pieniędzy byłaby mniejsza, a korzyść większa. Złudzenie, że od przygodnego mistrza dowiemy się czegoś, co tylko w jego mózgu się mieści, lub też wymówka, że on nam wrzuci do głowy iskierkę wiedzy, której sami przez lenistwo nie przenieślibyśmy do głów naszych — są to racye zbyt nikłe, ażeby można było kłaść je na szalę tej sprawy. Zresztą rzeczywi-

stość przekonywa nas dowodnie, że one dla ogółu nie mają znaczenia. Jeżeli tedy wykłady publiczne mają być nadal źródłem kształcenia i dochodu dla instytucyj społecznych, należy koniecznie powrócić do lepszej ich tradycyi, czyli podnieść ich poziom. Nawoływanie i wyrzuty nic tu nie pomogą w niczem, co trzymać się powinno własną swoją wartością.

Ciągle zbytek!

Tego lata mamy być uszczęśliwieni dwiema wystawami: łowiecką i końską, dwoma popisami zbytku, który ciągle potrząsa swym szychem wtedy, kiedy najkonieczniejsze potrzeby daremnie oczekują urzeczywistnienia. Dla wystawy łowieckiej nie warto słów tracić. Nie jest to ani koniecznem, ani nawet dla ogółu ciekawem oglądać rozmaite sposoby tępienia zwierzyny i łupy, zdobyte w Indyach lub w Afryce przez panów, którzy mogą na te zabawy wydawać po kilkaset tysięcy rubli. Bez tego pokazu strzelalibyśmy celnie, uganiali się w dziesięciu za jednym zającem, zabijali „kozły“ z wymionami i wiedzieli, co u nas żyje pod opieką Nemroda. Zdaje się nawet, że niema ani jednej dziedziny, w której byśmy byli lepiej poinformowani i uzdolnieni. A wystawa koni? Dodać trzeba — powozowych, wierzchowych, słowem, zbytkownych. Nie wątpimy, że i ten popis odbędzie się z „chłopkiem,“ że paru zamożnych włościan, namówionych przez „dziedziców,“ przyprowadzi kilka koni roboczych, za co będą nagrodzeni, podrzuceni w górę przez reporterów i przekazani potomności, ale cała ta blaga nie zakryje nam faktu, że koni roboczych planowo nie hodujemy i nie przywiązujemy do nich wielkiej wagi. Bo wszakże to tylko siły robocze, produkcyjne, a nam potrzeba tylko zbytku — do wszystkiego, do „podniesienia dobrobytu,“ do „pomnożenia bogactwa krajowego,“ do „rozwinięcia gospodarstw rolnych“ itd. Jeżeli więc panowie pokażą nam, na jakich wierzchowcach ścigają lisy lub zające z chartami, to cel „ekonomiczny“ obu wystaw będzie osiągnięty. Jest to najskuteczniejsze „ratowanie się“ i „ubezpieczanie“ od ruiny materyalnej.

Naiwna skarga.

Ktoś w *Gazecie Radomskiej* skarży się na cukrownie, niechcące sprzedawać cukru w znacznej ilości stowarzyszeniom spożywczym i osobom prywatnym, gdyż całą produkcyę zbywają pośrednikom. Pod tym zarzutem postawiono trzy fabryki. Tego rodzaju elegie dowodzą niezbicie, że u nas nadzwyczaj mało ludzi zastanawia się nad ekonomiczną organizacyą stosunków, nie wyłączając redakcyj pism. Bo gdyby światli przewodnicy opinii chcieli chociaż cokolwiek myśleć w tym przedmiocie, wiedzieliby: 1) że nie trzy, ale wszystkie cukrownie sprzedają hurtownie swój produkt pośrednikom; 2) że nawet czynią to nietylko wszystkie cukrownie, ale wszystkie wogóle fabryki; 3) że oprócz artykułów i stosunków bardzo nielicznych, każdy produkt, zanim dostanie się z rąk wytwórcy do spożywcy, musi przejść długą drogę pośrednictwa. Przecież na tej podstawie opiera się cały handel. Dlaczegóż więc szanowni reformatorowie czepiają się jakiejś jednej jego gałązeczki, a nie zabierają się do korzeni? Zauważy ktoś, że chociaż inne zakłady przemysłowe mają główne ujścia dla swych towarów w pośrednictwie, nie opasują się obręczami monopolów, że np. papiernia prowadzi sprzedaż hurtową, ale prowadzi również detaliczną, podczas gdy cukrownie oddają się całkowicie w ręce spekulantów. Odpowiemy na to, że 1) monopolem związują się nietylko cukrownie i 2) zwyczajny konsument musi zawsze pokryć tę różnicę, która stanowi zysk pośrednika. To znaczy: fabryka sukna nie udzieli mu rabatu, lecz sprzeda sztukę po tej cenie, po jakiej ją oddaje kupcowi. Korzyść więc jest tu prostem złudzeniem. Ponieważ zaś ceny cukru są stalsze, niż wielu innych produktów, przeto kłopot z tym monopolem jest jeszcze mniejszy. Powtarzamy: trzeba patrzeć na korzenie, a nie na gałązki.

Szkoła wydawnicza kompozytorów.

We Lwowie wykluła się myśl zawiązania spółki muzyków, któraby wydawała utwory kompozytorów polskich, a gdyby przedsięwzięcie powiodło się — i obcych. Jest to dopiero projekt, który jeszcze należycie nie dojrzał i który zapewnie przed urzeczywistnieniem się będzie musiał pokonać wiele trudności. Co do nas, największą widzimy w rozproszeniu uczestników. Nie potrzeba długo dowodzić, że spółka tego rodzaju, jak każda inna, wymagać będzie skoncentrowania sił i organizacyi; któraby jej umożliwiała szybką i energiczną działalność oraz bezpieczeństwo materyalne. Tymczasem jej członkowie, rozrzuceni po oddalonych od siebie miastach i różnych państwach, w żaden sposób nie złożą takiego skupionego ciała, chociażby nawet wybrali ze swego łona ściślejszą delegacyę. Bo pomyślmy tylko, w jakiem tempie rozwijać się może „interes“ wydawniczy, którego jeden opiekun mieszka we Lwowie, drugi w Krakowie, trzeci w Warszawie itd. Jeżeli zaś pełnomocnicy-wykonawcy będą przebywać w jednem mieście, to naturalnie spółka straci swój ogólny charakter związku kompozytorów. Może zresztą projektodawcy wynajdą jakąś praktyczną dla niej formę. Życzymy im pomyślnego rozwiązania tej sprawy, która w zasadzie swej jest bardzo sympatyczną.

Rabunek publiczny.

Pomimo gorączkowej budowy domów w Warszawie, powstawania nowych ulic i dzielnic, cena komornego wzrasta nieustannie. W jednym z domów na Krakowskiem-Przedmieściu, jak donosi *Kuryer Warsz.*, firmom handlowym, zajmującym sklepy od lat 20 i 30, gospodarz nadesłał zawiadomienie, iż po upływie kontraktów dzierżawnych ceny komornego będą *zdwojone*. A więc jeden właściciel sklepu, płacący dotąd 5,000 rb., będzie płacił 10,000; sąsiad jego — zamiast 3,000 — 6,000 rb.! Jest to już zwyczajny rabunek publiczny, do którego należałoby zastosować odpowiednie środki prawodawcze. Dotychczas wyzysk w handlu produktami spożywczymi jest słusznie poskramiany przez prawo. Właściciele domów dotąd są wolni od tej kontroli, więc nakładają kontrybucyę olbrzymią na swych lokatorów. Trzeba kanalizacyę przeprowadzić, która kosztuje 2,000 rb.: właściciel wnet rozkłada tę sumę na lokatorów, ściąga ją jednorazowo w ciągu roku i pozostawia nadal ten haracz jako stały swój zysk. Lokator dziś wszystko opłaca gospodarzowi: odnowienie domu, kary policyjne za niedbalstwo i nieporządki, a nawet wydatki na śluby i podróże za granicę. Ponieważ ta orgia doszła już do niesłychanych granic, więc należałoby jej położyć kres za pomocą energicznych środków prawodawczych, któryby ustanowiły jakąś uzasadnioną normę komornego.

W jakim celu?

Pisma codzienne w ostatnich czasach mają bardzo obfite stałe rubryki zajść ulicznych. Oczywiście codziennymi bohaterami tych wypadków są „nożownicy“ i wogóle ludzie, którzy w uniesieniu posługują się jakiemkolwiek narzędziem do zadawania ran. Stąd powstała w *Kuryerach* osobna terminologia i nawet styl swego rodzaju, który może posłużyć do stworzenia blankietów reporterskich, ułatwiających pracę „sprawozdawczą.“ Dość byłoby wstawić tylko daty, cyfry, ulice i nazwiska między wyrazami: uległ wywichnięciu, uległ nadwyrężeniu, uległ zmiażdżeniu, uległ zatonięciu, uległ spadnięciu, uległ pobiciu itd. Pogotowie ratunkowe, obok nieocenionej zasługi społecznej, przyczyniło się za pośrednictwem reporterów do wzbogacenia naszego języka: tak np. mamy już: rany *szarpane, cięte, kłóte, zdżone*. Brak jeszcze *prótych, dartych, drapanych, szczypanych i parzonych*. Rozumiemy, że „krwawe zajścia“ i „krwawe *nieporozumienia*“ mogą zapewnić stałe i wcale niezłe utrzymanie reporterom, ale nie rozumiemy, w jakim celu pisma codzienne darzą czytelników szczegółowymi spisami tych czynów? Dla mas oświeconych wiadomości te są zbyteczne i niestosowne, dla ciemnych zaś służą tylko podnietą do takich zbrodni. Czy więc nie byłoby właściwiej pozostawić te wiadomości w aktach cyrkułowych?

LITERATURA I SZTUKA.

UTWORY KONKURSOWE NA SCENIE KRAKOWSKIEJ.

Kraków, [illegible]

II.

Lucyan Rydel: *Zaczarowane koło*, baśń dramatyczna w 5 aktach.

Przy pochwalnych hymnach prasy warszawskiej, wśród bicia dziewiczych serc, którym wtórowały słodko srebrzyste dźwięki nagrody konkursowej, drogą usłaną wieńcami z lauru, palmowych liści i wonnego kwiecia, wjechał na tryumfalnym wozie „Zaczarowanego koła“ p. Lucyan Rydel na scenę krakowską.

Od dawna, od bardzo już dawna wiedzieliśmy, że będzie on zwycięzcą na konkursie Paderewskiego. Znaliśmy tytuł dzieła i to, że autor nad niem dwa lata pracował i to, że rozmaici znawcy niezmiernie pochlebne wydawali o niem sądy. Z niecierpliwością też oczekiwaliśmy wystawienia sztuki.

Oczekiwania nasze nie zostały zawiedzione. Już w pierwszej chwili, kiedy odsłonięto kurtynę i okazało się błękitne jezioro, odbijające w ruchomych falach purpurowe blaski zachodniej zorzy, a z jego dna zabrzmiały dźwięki zatopionych dzwonów, doznaliśmy bardzo silnego wrażenia. Wzrosło ono jeszcze, kiedy odezwały się rozpaczliwe krzyki poparzonych święconą wodą topielic, a doszło kulminacyjnego punktu pod urokiem różowych ciał rusałek, które w ostatniej scenie pierwszego aktu wypłynęły figlarnie na wierzch fal, aby zanucić pieśń do księżyca. Nastrój ten optyczno-akustyczny przetrwał aż do chwili, kiedy piorun zabija wojewodę w ostatnim akcie.

Treść dramatu wzięta jest z ludowej baśni o młynarce, która namówiona przez dyabła zamordowała wespół z kochankiem swojego męża i oczywiście odniosła zasłużoną karę. W pierwszym akcie, który właściwie stanowi jakby prolog do całej sztuki i bardzo słabo jest z nią powiązany, objawiają się nadziemskie moce, wywierające tajemniczy wpływ na losy bohaterów baśni.

Jest więc leśny dziad, znający tajemnice przyrody i nienawidzący ludzi za to, że płoszą mu ptaszęta i wiewiórki, a wycinają lasy. Są topielice, pluszczące się w wodzie i śpiewające urokliwe pieśni, aby zwabić niemi ludzkie dusze w głębinę. Są wreszcie dwa dyabły, jeden mały, kusy, chłopski, głupi i nieokrzesany, drugi poważny, z pańska się noszący, szlachecki, Boruta, ale nawet jak na szlachcica za tępy. Dwaj wysłańcy Belzebuba spotykają się przypadkowo i po krótkiej wojnie godzą się, podzieliwszy między siebie dusze

chłopskie i pańskie. Boruta pędzi też zaraz do zamku, gdzie, jak się dowiaduje, wojewoda licznych podejmuje gości, a kusy chwyta odrazu w swoje szpony młynarkę, która przyszła do leśnego dziada po radę na serdeczny ból.

Pokazuje się, że wszystkie znane czarodziejowi środki wypróbowała już rozkochana, a bez upamiętania kobieta, aby utrzymać przy sobie miłego. Leśny dziad powiada, że pozostaje tylko jeden sposób przywiązania kochanka. „Krwawy ślub“ nie daje jednak wyjaśnienia, co to ma być.

Maryna dowiaduje się jednak, co on znaczy. Kusy podszeptuje jej słowo nadziei.

> Po żelazie krew ocieka...
> Krwią czerwoną z nim się zwiąż.
> Będzie jako ślubny mąż...
> Po żelazie krew ocieka...
> W rękę mu siekierę włóż.
> Albo topór, albo nóż...
> Niech zabije własną ręką.

Oszalała kobieta ucieka tym razem od pokusy, ale dyabeł postara się oto, ażeby ta myśl nie opuściła jej, póki się w czyn nie przemieni.

Boruta tymczasem z wielką łatwością zdobywa cyrograf na duszę wojewody, który współubiegając się o buławę hetmańską ze swoim krewniakiem, za cenę jej zapisuje dyabłu duszę. W umowie jak zwykle jest zostawiona droga ratunku dla wojewody, mianowicie:

> ...jeśli pan wojewoda
> Nigdy żadnego człowieka
> Niewinnego nie zabije.
> Ani też na śmierć nie poda
> Niewinnie przez ręce czyje.
> Tom przegrał.

— mówi dyabeł. Wojewoda zaraz w kilka minut po zawarciu tego układu każe, mimo rozpaczliwej obrony córki jedynaczki, ściąć drzewo, z którem jest związane życie jego brata, co wie napewno z ust samego dyabła. Dlaczego Boruta nie przychodzi zaraz potem po jego duszę, którą przez czyn ten wygrał, nie można sobie wytłomaczyć inaczej, jak tylko tem, że autor, chcąc napisać dramat w pięciu aktach, nie mógł go skończyć w drugim. Do przeprowadzenia jednak tego zadania potrzebował pomocy obu dyabłów, co zresztą jest zupełnie usprawiedliwione przez ogromną ich... naiwność.

W trzecim akcie połączone siły dyabelskie sprowadzają wojewodę z bracią szlachtą do lasu. W chwili, kiedy namówiony przez Marynę kochanek zabił młynarza, jej męża, siekierą zostawioną przez dawnego parobka, a obecnie biednego drwala, ten miał dawne z młynarzem rachunki, pobili się też przy spotkaniu, tak że drwalowi krew z nosa pociekła. Te ślady krwi w połączeniu z pozostawioną siekierą, która posłużyła do zabicia młynarza, ściągają podejrzenie na drwala, że jest mordercą. Wojewoda każe uwięzić biedaka i skazuje go na śmierć przez powieszenie.

Maryna tymczasem, związana z Jaśkiem na wieki przez „krwawy ślub,“ daremnie stara się zagłuszyć swoje i jego sumienie. Naprożno kusi go dostatkami, które z nim podzieli, naprożno upaja żarem miłości, która i jego chwilami gorącym obejmuje płomieniem. Nie może wyrwać z duszy jego pamięci zbrodni, do której go popchnęła. To też kiedy wezwany do zamku kat, aby dokonać egzekucyi na drwalu, wstępuje do ich chaty, pytając o drogę, Jasiek w szale rozpaczy wyrywa się z rąk Maryny i leci do jeziora, aby się utopić.

W akcie piątym wojewoda podpisuje wyrok śmierci na drwala, który zostaje wykonany z ogromnym pośpiechem, pomimo że zjazd deputacyi braci szlachty, przywożącej buławę hetmańską, mógłby śmiało powstrzymać egzekucyę. Wojewoda dowiaduje się od obłąkanej Marysi kowalowej, która po utopieniu się Jaśka dostała pomieszania zmysłów, że zasądził niewinnego. Zjawia się też niezwłocznie Boruta i żąda tego, co mu się należy — duszy wojewody. Jest on już dużo odważniejszy, niż w drugiem akcie. Bo wówczas lękał się wejść do komnaty, w której wisiał Ukrzyżowany, a teraz z Wojewodą, zasłaniającym się krzyżem, długą prowadzi pogawędkę. Zwycięża opór Wojewody odwołaniem się do szlacheckiego honoru. Tak więc na szlacheckiem słowie:

> Dziś już polegać nie można?
> Teraz widzę, w jakiej cenie
> Waszmości Verbum nobile!
> To mi święta i nabożna
> Infamia.. Ja się rumienię,
> Ja, dyabeł, za Waszmość Pana,
> Boć honoru mam na tyle,
> Że verbum i ręka dana
> Znaczą u mnie...

Wojewoda na taką perorę odkłada krzyż i podaje rękę Borucie. Piorun uderza w bratobójcę — djabeł bierze duszę jak swoją, ale honor szlachecki ocalony.

Oprócz tych postaci poznajemy jeszcze w dramacie p. Rydla niezmiernie sympatyczny i prawdziwą poezyą tchnący typ głupiego Maciusia. Jest on zupełnie odosobniony i z całością akcyi dramatu prawie się nie wiąże, mimo to wzbudza największe zainteresowanie ze wszystkich bohaterów sztuki.

Jest to zmartwychwstały Jańko Muzykant, co to mu: „Sosny, buki, brzezina, wszystko grało: cały bór i basta. Echo też... W polu grała mu bylica, w sadku pod chałupą ćwirgotały wróble, aż się wiśnie trzęsły. Wieczorami słuchiwał wszystkich głosów... gdy żaby zaczynały rzechotać, derkacze na łąkach derkotać, bąki po rosie buczeć, gdy koguty piały po zapłociach, Bóg wie, jakie on w tem słyszał granie.“

Głupi Maciuś opowiada to przepięknym, pełnym prostoty i szczerości wierszem:

> Ono się tak wszędy głosi
> Po świecie... I na polanie,
> Kędy bez dzień pasę krowy
> I kiej na południe gonię,
> To i w polach, kajsi, cosi
> Gra i gra... Ten gaj wierzbowy
> Podle młyna i to błonie —
> Wszystko ma głos...

Jak Janko Muzykant o grającej deszczułce, którą widywał w karczmie i na weselach, tak głupi Maciuś marzy o flecie:

> Oj, przez onego flecika
> Wciąż cosi szumie we mnie,
> Zewsząd idzie ta muzyka.
> To granie... a tu daremnie
> Człowiek se fujary struga..
> Kręcę z wierzbowego łyka
> I dłubię w brzozowej korze.
> A myślę, nie ta— to druga
> Wygra wszystko, jak się patrzy,
> Wygra niebo — wygra zorze
> I ten miesiączek, co bladszy
> Śrybła, i słonko jak wstaje,
> I nad rzeką te opary ..

Leśny dziadek, który szczególną miłością otacza chłopaka, daje mu radę, żeby z nową fujarką przyszedł nad jezioro o północy, jak topielice śpiewają pieśń do księżyca, a wtedy fujarka chwyci w siebie głos rusałek i potem mu już wyśpiewa wszystko, co on zechce.

Kusy dyabeł zarzuca też sidła na głupiego Maciusia, ale nadaremnie, bo go broni czarodziejski talizman, darowany przez leśnego dziada:

> Darowałem ja mu więcej
> Niźli wszystkie skarby świata—
> Darowałem jemu pieśń!
> Pójdzie za nim rzewna, śpiewna,
> I tęczowa, i skrzydlata,
> Czarodziejska pieśń.

I wygrywa Maciuś na swojej fujarce dzień i noc, aż się w muzyce jego rozmiłowała wojewodzianka i wabi go przed zamkowe tarasy i czułemi zarzuca go zwierzeniami. Ale jego nie nęcą wdzięki pięknej panny, zarówno jak podszepty pokus szatańskich.

Kiedy Boruta pokazuje mu olbrzymie skarby zaklęte w spróchniałem drzewie i obiecuje je podarować, byle poszedł na rok w służbę do Lucypera, głupi Maciuś z wielką prostotą powiada, że granie jest jak płakanie, że niema nijakiej ceny — bo on ma dla siebie swoje granie, nie dla nikogo na przedaż. A jeśli gra dla kogo, to:

> Grać najświętszej panience,
> Co nitkę babiego lata
> Chodzący po niebie przędzie.

I opowiada legendę o Matce Boskiej Prządce, tak wdzięcznie zilustrowaną przez p. Stachiewicza w wydanych przed kilkoma laty legendach.

„Zaczarowane koło“ jako utwór poetycki ma bezsprzecznie dosyć poważną wartość: język bardzo piękny, forma wiersza melodyjna i pełna prostoty harmonizującej doskonale z treścią.

Jako dramat za to przedstawia się nadzwyczaj słabo. Charaktery, z wyjątkiem Marysi, są zaledwie naszkicowane, akcya rozwlekła i tak słabo osnuta, że co chwilę się rwie i sztucznie wiązać ją trzeba. Długie monologi nużą i rozrywają uwagę słuchacza obrazami nienależącymi do głównej treści. Nadto wprost obniżająco na całość działa nadużycie dekoracyjnych efektów i strąca utwór p. Rydla do rzędu sztuk popularnych, których celem jest działać na zmysły audytoryum, a nie na jego duszę.

Sądzimy, że dramat ten, mimo pięknych dekoracyj i bardzo ładnej muzyki p. Szopskiego, dodającej wielkiego uroku i ożywienia niektórym ustępom, nie utrzyma się długo na scenach naszych.

Za to z przyjemnością da się czytać szczególnie w długie, zimowe wieczory, kiedy tak chętnie słucha się bajek.

M.

LITERATURA ANGIELSKA.

A. Chevrillon: *Rudgard Kipling*, 1899.

Najważniejszym wypadkiem w historyi literatury angielskiej z ostatniego dziesięciolecia było pojawienie się Rudgarda Kiplinga. Gdy większość poetów i pisarzy szukała natchnienia w sztuce symbolicznej, we wskrzeszeniu form przebrzmiałych, celtyckich, średniowiecznych, prerafaelicznych, dając dowody wielkiej erudycyi i zręczności, naraz rozległ się głos śmiały i brutalny tego młodzieńca, zadziwiający swym akcentem rozkazującym, polotem natężonego życia, rozmiarami osobistego doświadczenia i biegłością w rzemiośle pisarskiem. Kipling urodził się w Bombaju 15 grudnia 1865 r. Dzieciństwo spędził w Anglii, gdzie otrzymał pierwsze ukształcenie, nie chciał jednak wstąpić do uniwersytetu i w 17 roku życia powrócił do Indyj. Osiadłszy w Lahorze, zaczął pisywać pierwsze swe nowele, które zebrał następnie pod wspólnym tytułem: „Plain Tales of the Hills.“ Było to w r. 1883. W ciągu następnych trzech lat wydał dwa jeszcze zbiory: „The Story of the Godsbys“ i „In Blanc and White.“ Począwszy od r. 1886 w Anglii zaczęto zwracać baczną uwagę na młodego pisarza, który udał się, dla rozszerzenia zakresu swych spostrzeżeń, w podróż do Chin, Birmanii i Ameryki. W r. 1890 osiadł w Londynie i wydał nową książkę p. t. „The Light that failed.“ W dwa lata potem ożenił się i wraz z żoną objechał Japonię, Afrykę i Australię. Zwiedziwszy w ten sposób wszystkie części globu ziemskiego, przebywa ostatecznie bądź w Londynie, bądź też w Stanach Zjednoczonych.

Ten pisarz, posiadający w temperamencie wszystkie rysy charakterystyczne prawdziwego Anglika, jest z ukształcenia czystym kosmopolitą. Takie są dane, które krytyka posiada dla określenia środowiska, gdzie Kipling się rozwijał. Co się tyczy wpływów dziedzicznych, młody pisarz sam wyznaje, iż zapożyczył znaczną część tematów do opowiadań od ojca swego, dyrektora muzeum w Lahorze, człowieka o zadziwiającej imaginacyi. Dodajmy także, iż Kipling jest siostrzeńcem Burne-Jonesa. Ale ten chorobliwy malarz-marzyciel był naturą krańcowo sprzeczną z brutalnym temperamentem naszego zdobywcy.

Gdy taki Loti, marzyciel, szukał w rozległych podróżach po świecie tylko pokarmu dla swej biernej melancholii, gonił za dreszczem rozkoszy i śmierci wobec sił wiekuistych natury, Kipling obiegał kulę ziemską z temperamentem człowieka czynu, który upatruje w tych siłach tylko przeszkody do złamania i bodźce do wyćwiczenia swej woli, osobowości i dumy. W Indyach towarzyszył wojsku angielskiemu w walkach z pogranicznymi koczownikami. Spał pod namiotem prostych żołnierzy, których kochał za ich instynkty pierwotne i wojownicze. Był obecnym przy mordach i pożogach, któremi wycieczki ich zwykle się kończyły. Odwiedzał braminów, bojaźliwych i potulnych, dlatego godnych pogardy, pomimo wysokiej ich kultury, wobec stanowczości i energii rasy zdobywczej. Po miastach ludnych przysłuchiwał się opowiadaniom klasycznych i wielomównych bajarzy. Widział słynne głody indyjskie, zaściełające ziemię armiami szkieletów i milczące pomory, sprawiane przez cholerę. Przyjmował udział w pielgrzymkach, które zbierają pół miliona ludzi koło świętego grobowca. Widział olbrzymie tłumy azyatyckie, brunatne i gładkie, rozmnażające się, jak robaki, po każdym urodzaju i wymierające przy każdej dżumie. Życie ludzkie wydało mu się rzeczą nieważną i drobnej ceny. Spoglądał na tyle religij i etyk najrozmaitszych, iż wiara i moralność stały się dlań rzeczami drugorzędnemi. Poglądy tego młodzieńca na życie i człowieka stały się wcześnie nader cynicznymi — ku zgorszeniu szanownych czytelników angielskich. Życie ma w oczach Kiplinga charakter walki krwawej, w której nawet miłość jest okrutną i brutalną. Ta tragiczna wizya towarzyszy mu równie śród brudnych zaułków Londynu, jak i śród zapomnianych, umarłych miast Indyj, gdzie małpy i pawie igrają w cieniu pałaców marmurowych i na pomnikowych grobowcach cesarzów mongolskich.

Co głównie uderza w dziesięciu zbiorach jego nowel, to ścisłość opowiadania. Po trzytomowych powieściach angielskich, które zwolna, pracowicie wysnuwają intrygę i charaktery, forma ta była objawieniem. Kipling w najwyższym stopniu posiada zdolność syntetyczną, która zbiera w jednem ognisku wszystkie szczegóły dla wywołania efektów gwałtownych i niespodzianych. Jest krótki, silny, skoncentrowany, nerwowy i okrutny. Ton posiada ironiczny, pełen wyższości i arogancyi. Opowiada rzeczy okropne głosem spokojnym i zimnym. Wydaje się, iż wszystko widział, zrozumiał i przyjął. Pomaga mu w tem imponowaniu doświadczenie olbrzymie i bezpośrednie, zdobyte w zetknięciu z opisywanemi środowiskami. Zna w najdrobniejszych szczegółach zwyczaje i obyczaje osób przedstawionych, ich przesądy, ślady pozostawione na duszy i ciele przez klimat, otoczenie i rzemiosło, cały ich przebieg życiowy, język techniczny, dyalekt i gwarę. Z zamiłowaniem bada wszystkie typy ludzkie i w każdym odszukuje rysy charakterystyczne.

Bogactwem swych informacyj Kipling przypomina Balzaca, przypomina go także potężną swą wyobraźnią intuicyjną. Ona mu pozwala przenikać i odtwarzać życie w całem niesłychanem bogactwie jego objawów. Oznaki zwyczajne, których my nie spostrzegamy lub które wydają się nam blade, nieznaczne, rozrzucone, wiążą się w jego umyśle w jedną całość i pozwalają mu odbudowywać przedmioty w ich związku i rozwoju. To postępowanie umysłu jest u niego tak bystre i pewne siebie, iż Kipling sam uważa je za właściwość tajemniczą, nadnaturalną. Przedmioty opisywane panują nad nim, wdzierają się w jego duszę, nie dają mu spokoju. Jest to zwykła zdolność kombinacyi i syntezy, pod której tyranią wszystkie umysły twórcze się znajdują.

Z tego punktu widzenia charakterystycznemi są u Kiplinga genialne jego skrócenia, gdzie w jednym frazesie lub wyrazie nawet umie zawrzeć moc myśli, wrażeń i obrazów. Wyrazy jego są pełne treści i jakby gotowe każdej chwili do wybuchu. Na tem polega oryginalność stylu Kiplinga. Tak postępuje nietylko przy opisach świata zewnętrznego, ale i moralnego. Skupia życie i daje nam z niego tylko mocne wyciągi. Umie odnaleźć w niem główne linie psychologiczne. Jednym rysem umie zaznaczyć charakter swych bohaterów, środowisko, w którem się obracają, naturę ich umysłu i namiętności. Dla większej przejrzystości analizy chętnie wyprowadza człowieka z otoczenia spokoju i wygody, które cywilizacya stworzyła i stawia go wobec sił wiekuistych, jak śmierć i miłość. Ta ostatnia ma u Kiplinga charakter prosty, fatalny i okrutny. Kobieta jest dlań tylko samicą, „jak Sfinks pełną doświadczenia i dwa razy bardziej tajemniczą odeń."

Literatury europejskie są stare i wyczerpane. Używają najrozmaitszych sposobów dla wstrząsania nerwów czytelnika. Francuz dopina tego celu wyrafinowaniem wrażeń i języka. Anglik znudzony odtwarza wyobraźnią potężne i okrutne wzruszenia pierwotnej walki o byt. Tak czynili Swift i Byron, którzy szukali ucieczki w krwawych marzeniach. Tak czyni Kipling, z zamiłowaniem przedstawiający mordy masowe — lubi malować ciało ludzkie torturowane, ćwiertowane. Na podobieństwo Swifta i Byrona chce w ten sposób drażnić, wyzywać opinię publiczną ucywilizowanej i moralizatorskiej Anglii. Czuć, iż drży cały radością na myśl o zgorszeniu, w jakie wprawia swych protestanckich i przyzwoitych współziomków. Cudzołóstwo przedstawia jako rzecz zwyczajną i przyjętą, a w miłości samej interesuje go głównie nienawiść. Jego kobiety igrają z mężczyznami jak pantery, naprzód leniwie, z nudów, a następnie, pobudzone, dla przyjemności zadawania ran i widoku krwi rozlanej. Mężczyźni nie są lepszymi w tej walce: Kipling nie szczędzi gorzkich szyderstw z ich próżności, złudzeń i egoizmu, który spieszy się zerwać związek wnet po zaspokojeniu chuci.

Takim jest pesymizm i cynizm Kiplinga, wytworzony w surowej szkole życia. Nienfność i pogarda ludzi znajduje się w podstawie wszystkiego, co napisał. Długi czas żył w nędzy i tylko dzięki niesłychanej energii wydobył się z niej. O charakterze tej walki pozwala nam wnosić szkic, zatytułowany: „Światło, które zgasło," noszący charakter autobiograficzny. Dwudziestodwuletni malarz włóczył się po Egipcie, zbierając szkice, które posyła do dzienników londyńskich. Zarobił w ten sposób trzydzieści f. st. Wróciwszy do Londynu bez grosza, w ciągu dwu miesięcy nie udaje się do dyrektora po odebranie tej sumki, która jest dlań majątkiem i żyje wyłącznie prawie kartoflami, jakkolwiek jest już słynny, aby tylko nie pokazać wytartem ubraniem swemu chlebodawcy, iż jest na jego łasce. Czuje bowiem, iż w interesie dyrektora jest, aby go utrzymać w ubóstwie i zależności. Używa niesłychanych wybiegów, aby tylko nie tknąć należnej mu sumki i nawet jej nie zażądać. Przeszedłszy przez taką szkołę życiową, nic dziwnego, iż Kipling stał się mizantropem.

Takimi są wszyscy jego inteligentni bohaterowie: energiczni, o potężnej woli, która się zwiera, by żyć wbrew uderzeniom losu. Często też ten wysiłek nazbyt wielki i długotrwały zużywa ich i rozstraja. Oto czemu na równi z Shakespearem, Dickensem i Poem Kipling jest mistrzem w przedstawianiu manii, obłędu, halucynacyi. Ucieka się przytem do efektów fantastycznych. Jest w nim coś z wizyonera. Pod jego spojrzeniem namiętnem i głębokiem rzeczywistość przybiera odcienie tajemnicze, natura nieożywiona i ludzie mają charakter widziadeł. Życie jego bohaterów miewa natężenie demoniczne, ich namiętności i czyny nacechowane są takim fatalizmem, iż znajdujemy się naraz wobec wizyi. Kipling przekracza często granice świata rzeczywistego. Wchodzi w krainę snów i marzeń, tworzy zmory pełne ułudy i okropności. W tych nierealnych krainach jest księciem, nieustępującym potęgą Edgarowi Poemu. I wogóle, jeżeli nie ucieka przed brzydotą i brutalnością, nigdy nie jest banalnym — i tem się różni od realistów francuskich.

Wywarłszy całą swą złość na ludziach, Kipling chętnie przebywa ostatnimi czasy w wyobrażalnem królestwie zwierząt. Młode chłopię indyjskie Mowgli wpada do jaskini wilków, jest przez nie przyjęty i wychowany przez niedźwiedzia Baalo. Studyuje zwyczaje zwierząt; wychodzi zwycięzko z przygód najrozmaitszych. W tem założeniu opowieści jest wiele sielanki — czyżby Kipling w ten sposób nie chciał wynagrodzić sobie mizantropii poprzednich swych opowiadań?

Bądź co bądź, zwierzęta Kiplinga są pełne życia, pozbawione antropomorfizmu, charakteryzującego zwykle takie utwory i świadczą o potężnej imaginacyi autora. Nie są to zwykłe maski, służące dla przedstawienia komedyi ludzkiej, lecz próba poetyckiego przeniknięcia w życie i duszę zwierząt. „The Book of the Jungle" uważane jest za jedno z arcydzieł współczesnej literatury angielskiej.

Dr. L. Winiarski.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE

HISTORYA. Dr. A. Lewicki: „Dzieje narodu polskiego w zarysie" (488 str.). Gebethner i Wolff.

— „Dzieje powszechne ilustrowane," wyd. F. Bondy, zeszyty od 227 do 255. W Warszawie u Centnerszwera.

— M. Dubiecki: „Obrazy i studya historyczne," serya II (325 str.). Gebethner i Wolff.

POEZYE

I.

Choć chłodna śmierć wyciąga dłoń
Nader rubasznie,
Rzucić ten świat, iść w mroków toń —
Nic jest tak strasznie!

Wszystkiemu przyjść wszak musi kres
W życia podróży...
Ta ciągłość zmian: uśmiechów — łez
Nareszcie znuży!

Lecz drogich swych rzucać na łup
Okrutnej doli,
I słysząc płacz, zstępować w grób —
To tylko boli!..

II.

Północnych stron urocza noc,
Perłowo blada,
Nad mojem sercem dziwną moc
Zawsze posiada...

Zwłaszcza gdy morza słyszę szum
Śród nocnej głuszy,
Powstają roje tęsknych dum
Z dna mojej duszy...

Patrzę na dziki taniec fal
W księżyca blasku,
Gdy wiatr je z szumem pędzi w dal,
By rozbić w piasku...

W poświście wichru, w ryku wód,
W blasku księżyca,
Ta sama, co i w duszy mej
Tkwi tajemnica...

Skarży się wiatr i morze klnie,
Miesiąc boleje —
Burzy się krew i serce drży,
I myśl szaleje...

Czego chce fala, wiatr i blask? —
Pytam się w gniewie!..
Czego chce serce, myśl i krew?..
Nikt tego nie wie!

Wszystko w krąg życiem wieszczem tchnie
I wraz zwodniczem...
Nad wszystko wyższym zda się duch,
A wraz jest niczem!..

W tym blasku, w wichrze, w ryku wód—
Ach, niedorzeczność! —
Zda mi się, we mnie woła ktoś:
Czy śmierć — czy wieczność?!

III.

Nie dla mnie laurowy liść,
Niech ciernie ranią mnie srodze!
Daleko pragnąłem iść,
Lecz sił zabrakło mi w drodze...

Na czole mem klątwy znak —
Precz słowy, szczęścia mamidło!
Myśl się porywa, jak ptak,
Ale złamane ma skrzydło!

Wciąż nowy przybywa krzyż,
Gdzie już jest mogił gromada...
Niebo ucieka mi wzwyż,
Przepaść się jeszcze zapada...

Serca — to śmierci jest łup —
Gdy nie chcąc, bić jeszcze muszą,
Gdy dusza już poszła w grób,
A ciało tęskni za duszą!..

Leo Belmont.

O PRAWDĘ.

Wszyscy bez wyjątku, zastanawiający się nad wadami społecznemi, przyznać muszą słuszność zarzutom, czynionym kobietom przez szanownego autora „Liberum veto" (*Prawda* nr 18). Kobiety przepadają za dziwacznymi strojami, wymagają zbytków, na które środki nie pozwalają, wyzyskują ciężką pracę mężów, rujnują nieraz honor i szczęście rodziny.

Wszystko to, niestety, prawda, ale kto temu winien?

Wobec mężczyzny, który prawnie i ekonomicznie jest panem położenia na każdem polu społecznem, kobieta urabiać się musi do jego wymagań.

Jeśli więc jest tak wiele kobiet głupich, złych, bez serca, to dlatego, że takie mają największą szansę podobania się i zapanowania nad mężczyzną, który szuka w nich jedynie zadowolenia zmysłów i wprost nie znosi ich umysłowej równości.

Wpływa na to dziedzicznie wyrobione od setek pokoleń tradycyjne poczucie wyższości męzkiej, której racyi bytu osobnik często nie rozstrzyga, jak wogóle wszystkich tradycyj tak słusznych, jak niesłusznych, które istnieją nietylko w umyśle, ale we krwi i nerwach. Wpływa wychowanie, a nawet cała prawie literatura dziecinna, przyznająca bezwarunkową wyższość chłopcu nad dziewczyną, a wreszcie suggestya prądów ogólnych, którym opierać się są zdolne wyjątkowe tylko jednostki.

Sam szanowny autor „Liberum veto" przyznaje kobiecie wspaniałe przymioty i zdolności, a winę jej usterek składa na wychowanie. Jest w tem niezawodnie wiele słuszności, ale zmiana kierunku wychowania i kształcenia kobiety nie wystarczy, bo trzeba jednocześnie zmienić zapatrywania mężczyzny. Dopóki w jego oczach kobieta będzie jedynie cackiem, stosunki zmienić się nie mogą.

Wszakże jednym z głównych zarzutów, czynionych *tak zwanym emancypantkom* było to, że miały krótkie włosy i ubierały się bez smaku — zwykle bardzo skromnie. Nb. najdziwaczniejsze wybryki mody nie uchodzą za brak smaku, a kobieta modnie ubrana nabiera w oczach ogółu niezaprzeczonego uroku.

Najlepszym zaś dowodem, iż wady kobiece wyrabiają mężczyźni, jest fakt, iż kobiety wykształcone, pracowite, mogące być prawdziwemi towarzyszkami mężczyzn zarówno w złej, jak dobrej doli, są daleko mniej poszukiwane w małżeństwie, niż lalki i pasorzyty.

Naturalnie istnieją pod każdym względem wyjątki, ale czy tak nie dzieje się powszechnie? Zapytuję o to wszystkich ludzi bezstronnych.

Walerya Marrene Morzkowska.

W DALI.

Płock. Korespondent *Kuryera Warsz.* donosi, iż przed paru tygodniami krążyli po Płocku i okolicy dwaj agenci, w celu kontraktowania robotników wiejskich oraz wyrobników, mieszkających w Płocku, na cały rok do Finlandyi. Kontrakty zawierane głoszą, iż robotnik żonaty dostaje rocznie 40 rb., 14 łofów zboża, 60 łofów kartofli, 2 kwarty mleka dziennie, sążeń drzewa na opał, mieszkanie; agent płaci koszty podróży. Nieżonaci otrzymują 50 rb pensyi rocznej i stół, oraz mieszkanie. Obecnie Niemiec, zebrawszy znaczną partyę robotników z Wyszogrodu i okolicy, odwiózł ją na miejsce. Lada dzień ten sam agent spodziewany jest w Płocku skąd ma następną partyę robotników wysłać do Finlandyi.

Wilno. W drodze prawodawczej utworzono przy miejscowym Banku ziemskim posadę dyrektora rządowego, który brać będzie udział w czynnościach dyrekcyi na równi z innymi członkami. — W d. 23 lutego r. b. sąd okręgowy wileński zatwierdził testament Apollona Narwojsza. Z całej sumy majątku, przedstawiającego ogółem wartość 100,500 rb., zmarły zapisał na cele użyteczności publicznej następujące kwoty: 10,000 rb. uniwersytetowi warszawskiemu, ażeby z procentów od tego kapitału powstały dwa stypendya imienia zapisodawcy, z których jedno dla studenta uniwersytetu, drugie zaś dla ucznia gimnazyum najbliższych krewnych, a w braku ich dla innych niezamożnych uczniów i studentów wyznania rzymsko-katolickiego, urodzonych w gub. Wileńskiej i Kowieńskiej; 10,000 rb. rzymsko-katolickim seminaryom w Telszach i Wilnie; 5,000 rb. na kościół katedralny rzymsko-katolicki w Wilnie; 2,000 rb. na kościół benedyktynek w Wilnie pod wezwaniem św. Katarzyny; 1,000 rb. na kościół rzymsko-katolicki w Traszkunach, w dyecezyi telszewskiej; 700 rb. na kościół rzymsko-katolicki w Swiranach, w dyecezyi wileńskiej.

Ryga. Katolickie Towarzystwo dobroczynności w Rydze, istniejące przy skromnych środkach od lat 21, ogłosiło sprawozdanie, z którego kilka szczegółów zasługuje na uwagę. W roku sprawozdawczym Towarzystwo miało dochodu rb. 11,851, rozchodu rb. 11,732. W przytułku dla dziewczynek było 63 wychowanic, które uczyły się robót ręcznych i gospodarstwa domowego, tak, ażeby w przyszłości mogły zająć miejsca szwaczek, kucharek, gospodyń itd. W przytułku dziennym dla chłopców znajdowało się 57 wychowańców, którzy, prócz religii, uczyli się wyrobu szczotek, koszyków, kajetów itd. W oddziałach szkół początkowych na Przedmieściu Mitawskiem uczyło się 79 dzieci płci obojej; wogóle pod opieką Towarzystwa w końcu roku sprawozdawczego znajdowało się 221 dziewczynek i 508 chłopców. Sprawami Towarzystwa zawiadywał komitet, do którego należeli pp.: Mieczysław hr. Potulicki (prezes), Antoni Gołembiowski, Władysław Lichtarowicz, Czesław Mejro, Stefan Pruszyński, Karol Suszyński, Władysław Jakubowski i Tadeusz Jasiński.

W dalszym ciągu nadesłano na konkurs poetycki *Prawdy* następujące utwory:

7) Świetlana.
8) Pan na Zarodzku.
9) Łzy i uśmiechy nasze.
10) Wśród burzliwych fal.
11) U źródeł Wisły.
12) Duet.
13) Dwie ofiary.
14) Ananke.
15) Dziadek.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. W Warszawie powstaje stowarzyszenie buchhalterów przysięgłych i pracowników kantorowych, którego zadaniem będzie rozpowszechnianie wiadomości handlowych z zakresu buchhalteryi, rachunkowości, ekonomii, statystyki praw itd. Nadto w zakres działalności tej instytucyi wchodzi pomoc wzajemna w wyszukiwaniu posad członkom, udzielanie im pożyczek, w razie zaś niezdolności do pracy — zapewnianie wsparć i stałych pensyj; wreszcie dostarczanie kupcom i przemysłowcom uzdolnionych pracowników i pracownic. Inicyatorem nowej instytucyi jest p. H. Chankowski.

— Towarzystwo rolnicze kieleckie zorganizowało się w sposób następujący: Na prezesa wybrany p. Eustachy Dobiecki, na kasyera p. Erazm Różycki, na członków zarządu pp.: Wacław Gołembiowski, Stefan Kozłowski, Fortunat Zdziechowski, Bogusław Kleszczyński, Ludwik Bobiński, Aleksander Moes i Henryk hr. Potocki.

— Według danych urzędowych, własność ziemska włościańska w Królestwie Polskiem od r. 1887 do 1894 zwiększyła się o 116,019 dziesięcin, czyli [illegible]

Szkoły. Rada uniwersytetu warszawskiego postanowiła udzielić 36,000 rb. na budowę oddzielnego gmachu instytutu fizyczno-chemicznego przy uni[illegible]

— W Petersburgu odbywają się narady komisyi, wydelegowanej do zbadania programów szkolnych w celu ułożenia nauki języków starożytnych tudzież ułatwienia egzaminów.

Postanowiono skrócić szkolne podręczniki fi[illegible]

— Wydział prawny uniwersytetu warszawskiego przedstawił radzie potrzebę stworzenia t. zw. seminaryum prawnego oraz biblioteki przy niem. Środki te posłużą do rozwinięcia większej samodzielności naukowej w studentach wydziału prawnego.

— Towarzystwo pszczelniczo-ogrodnicze w Warszawie postanowiło urządzać co rok kursy dziesięciodniowe dla amatorów, dla ogrodników wiejskich, niedostatecznie obeznanych z przedmiotem, dla ogrodników pragnących się obeznać z pszczelnictwem itd. Opłata 10 rb. za cały kurs pszczelnictwa i ogrodnictwa, a po 6 rb. oddzielnie za każdy przed[illegible]

Konkursy. „Salon artystyczny" w Warszawie ogłasza konkurs na motywy dekoracyjne z kwiatów i roślin, z pozostawieniem zupełnej swobody co do wyboru pomysłu tudzież środków wykonania (prace olejne, akwarelowe, pastelowe, rysowane albo modelowane z gliny). Do konkursu nadają się zarówno same studya wprost z natury, jak i zastosowanie ich do pewnych pomysłów artystycznych. Utwory nadsyłać można najdalej do 1 października r. b. („Salon artystyczny," Nowy Świat 28). Konkurs rozstrzygnięty będzie w sześć tygodni po otwarciu wy-

stawy konkursowej, tj. 15 listopada. Dwie nagrody: pierwsza 200 rb., druga 75; nadto trzecia „od publiczności zwiedzającej wystawę,“ za pomocą głosowania. Utwór uznany za najlepszy większością głosów, otrzyma 100 rb. Wreszcie będą przyznane zaszczytne wzmianki za utwory najlepsze po nagrodzonych.

— Komisya konkursu dramatycznego we Lwowie, rozpisanego przez Wydział krajowy, uchwaliła nie przyznać nagrody żadnemu z nadesłanych utworów i ogłosić konkurs na rok przyszły z temiż samemi nagrodami, zarazem jednak przedstawić Wydziałowi krajowemu wniosek, aby zaniechano dotychczasowego systemu, a natomiast co lat pięć nagradzano najlepsze sztuki, odegrane w okresie pięcioletnim w Krakowie i Lwowie.

Teatr. Na scenie warszawskiej przedstawiono najznakomitszą operę kompozytora rosyjskiego Czajkowskiego p. t. „Eugeniusz Oniegin“ z wielkiem staraniem i przepychem. Libretto jest osnuto na poemacie Puszkina. Główne role odśpiewali artyści włoscy, a z miejscowych p. Kruszelnicka i in. Dotychczas Czajkowski był znany w Warszawie tylko z muzyki koncertowej.

Odczyty. Warszawskie Towarzystwo hygieniczne urządziło dwa odczyty ludowe o ospie. Jeden w szwalni Tow. dobroczynności (dr. A. Puławski), drugi w sali Angielskiej (dr. K. Chełchowski).

Przemysł i handel. Zwyczajem dorocznym, d. 15 b. m. rozpocznie się w Warszawie jarmark na wełnę.

Koleje i komunikacye. W sprawie handlu biletami kolejowymi, która w drodze kasacyjnej przeszła do senatu, wyjaśniono, jak piszą *Warsz. Dn.* że odprzedawanie biletów abonamentowych nie pociąga za sobą odpowiedzialności kryminalnej, bez względu na to, czy odprzedaży dokonano raz jeden, czy też nosi ona charakter procederu. Jednakże, jeżeli odprzedawanie biletów traktowane jest jako przemysł, to winno podlegać ogólnym przepisom o handlu i może być prowadzone nie inaczej, jak po wykupieniu odpowiedniego świadectwa handlowego i opłaceniu podatku.

Wypadki. D. 9 b. m. o godz. 1-ej w nocy w pobliżu ujścia Prypeci (sto wiorst od Kijowa) parostatek „Marya,“ płynący z Homla, starł się z barką, naładowaną drzewem. Dwóch włościan zabitych, pięciu rannych. Przyczyną katastrofy był brak latarni sygnałowej na barce.

— Na kolei Wiedeńskiej między Łazami a Ząbkowicami wykoleiło się [illegible] wagonów pociągu towarowego.

— W Łodzi zdarzył się ogromny pożar przy ul. Piotrkowskiej pod nr. 36. Spaliło się 4 ludzi; 6 chorych przewieziono do szpitala.

Odpowiedzi Redakcyi

Panu Piotrowi W. Prosimy zgłosić się do Administracyi naszej.

Panu S. Horowitzowi w Krakowie. Nowela p. t. „Ismael“ p. Janiny Baudouin de Courtenay była drukowana w nr. 32—39, ale numery te są wyczerpane.

Redaktor i wydawca dr. fil. A. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 30 Апрѣля 1899 г.

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.